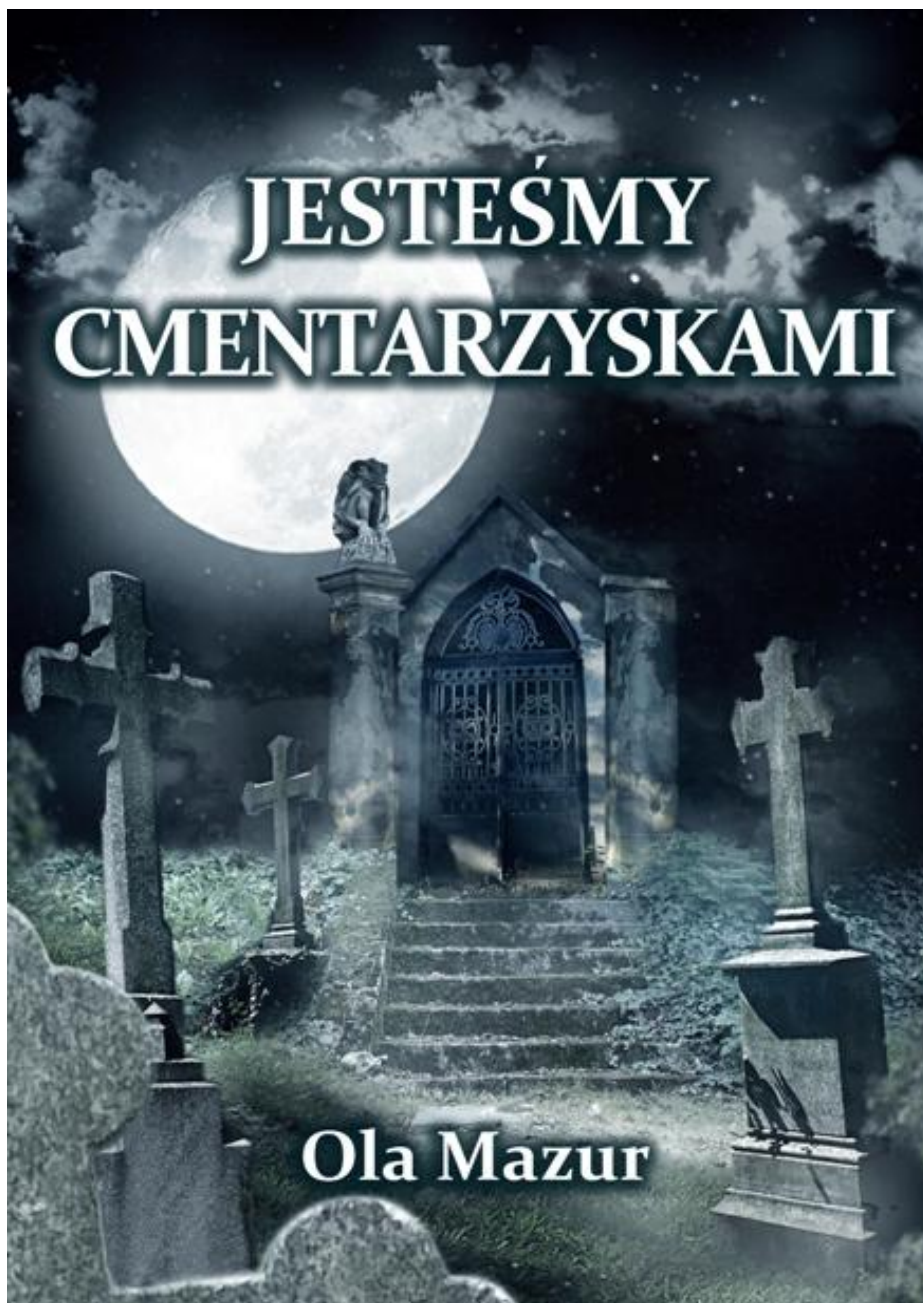


JESTEŚMY CMENTARZYSKAMI

Ola Mazur



„Człowiek jest naprawdę królem dzikich bestii, gdyż jego brutalność przewyższa ich brutalność. Żyjemy ze śmierci innych. Jesteśmy cmentarzyskami!”

Leonardo da Vinci

Rozdział I

Słońce prażyło jak oszalałe, a ptaki padały w locie. Tylko niektóre staruszki i wszystkie bez wyjątku udręczone upałem dzieci wykazywały imponującą żywotność. Kamienice niczym piece hutnicze dyszały gorącem. Rozpalone płyty chodnikowe parzyły stopy przez cienkie, letnie sandały, a topiący się w oczach asfalt przypominał rzekę lawy płynącą przez betonowy labirynt miasta. Bogdan, uwięziony wraz z tłumem zziających i spoconych bliźnich w rozklekotanym tramwaju nr 10, marzył właśnie o tym, by jakiś napakowany sterydami młodzieniec – ponieważ nikt, kto nie przypominał z postury goryla, nie byłby w stanie tego zrobić – otworzył zardzewiałe okienko i wpuścił do wnętrza pojazdu odrobinę ożywczych spalin. Rozpoczęła się fala czerwcowych upałów. „Wszystko przez to ocieplenie klimatu” – pomyślał mętnie, przysięgając sobie w duchu, że od tej pory będzie sumiennie segregować śmieci i już nigdy, pod żadnym pozorem nie kupi niczego w sprayu, tylko niech ta temperatura spadnie poniżej 40 stopni do cholery, bo inaczej to on dostanie bzika. Jednak zamiast śniegu złośliwa opatrność zesłała mu sms'a. Pięć minut później Bogdan nie musiał wyobrażać sobie, co powiedziałyby ściśnięte w puszcze sardynki, gdyby jedna z nich zechciała wyjąć z kieszeni telefon komórkowy – on to doskonale wiedział. „Hej! Spakowany? Pociąg 18:40 Płaszow, bilety kupilem” Osiemnasta czterdzieści?!

Dwie godziny później Bogdan przytupywał nerwowo w luksusowym tramwaju nr 6, robiąc w myślach przegląd plecaka. „Gacie są, koszule są, skarpetki są, sztormiak jest, choć to byłaby prawdziwa ironia losu, gdyby na Mazurach miało padać, przybory do golenia wzięłem, szczoteczkę do zębów też, spakowałem mydło? Trudno, Krzysiek mi pożyczycy...”.

Krzysiek, przystojny, dobrze zbudowany student AWFu z prawdziwą przyjemnością patrzył, jak jego cherlawy kolega zapiernicza sprintem zgięty w pół pod ciężarem plecaka. Ech ci prawnicy! Żadnej krzepy...

– Ile?!

- Osiemnasta czterdzieści pięć – oznajmił Krzysztof z lubością – ale ma 15 minut spóźnienia.
- Chwała Panu!...
- Zauważyłem u ciebie wzrastającą pobożność wraz z sukcesami życiowymi. To samo powiedziałeś, gdy zdałeś komisa z cywila trzy lata temu. Po egzaminie z ekonomii natomiast wzniosłeś okrzyk, cytuję: „Niech to diabli!”. Zastanawiające.

Bogdan łypnął na niego niezyczliwie. Prawo cywilne zatruło mu cały trzeci rok studiów. A ekonomię – przedmiot bynajmniej nie obowiązkowy – wziął dobrowolnie. Musiał mieć chyba zaćmienie umysłu.

- Krzysiu, wybierasz się przypadkiem na psychologię? To nie mnie bierz na warsztat, tylko naszego wspólnego znajomego. Ambitnie trzeba podchodzić do sprawy, od przypadków ciężkich zaczynać, a co!
- Żartuj sobie żartuj, a to jest naprawdę poważna sprawa. On już kompletnie mnie nie słucha...
- Ma rację, co będzie słuchał kretynów...
- Siedź cicho intelektualisto i układaj w myślach wyrazy szacunku dla kretyna, dzięki któremu zamiast smażyć się na rozpalonej patelni krakowskiej, jedziesz sobie nad chłodne przejrzyste jezioro, będące prywatną własnością naszego wspólnego znajomego, któremu pilnie potrzebna pomoc psychologa vel dobrego przyjaciela.
- A!... To ty go namówiłeś! A ja się dziwiłem, co on tak z nagłą i znienacka zaprasza mnie na wakacje, chociaż nie widzieliśmy się rok albo i dłużej. Ale czy ty czasem nie przesadzasz z tym, że mu szajba odbiła, przez telefon sprawiał dość normalne wrażenie.
- Masz na niego dobry wpływ... Mam nadzieję, że teraz też zdołasz przemówić mu do rozumu...

Andrzej, wspólny przyjaciel Krzyśka i Bogdana, z którymi łączyły go wspomnienia niejednego obozu harcerskiego, rok temu zniknął z ich życia. Wyjechał z Krakowa i Bogdan zupełnie stracił z nim kontakt. Był zresztą zajęty swoją pracą magisterską i nauką do egzaminu wstępnego na aplikację prokuratorską, na którą bardzo trudno się dostać, a następnie nauką na aplikacji, którą również trudno skończyć. Na szczęście pierwszy rok udało się zaliczyć z wysokimi ocenami, więc Bogdan zaczął z większym optymizmem patrzeć w przyszłość. Znajdował się w całkiem niezłej sytuacji. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że jednak skończy aplikację, a co za tym idzie ma w perspektywie pewne miejsce pracy, a na razie stypendium porównywalne ze średnią krajową płacą, co należy bez wątplenia uznać za niemały sukces przy wzrastającym bezrobociu nękającym nasz kraj

i kryzysie ekonomicznym w całej Europie, spoglądającej z przestraczem w stronę bankrutującej Grecji. To wszystko jednak odbiło się negatywnie na jego życiu towarzyskim – o ile studenci prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego takowe posiadają – i Bogdan nie miał pojęcia, co się dzieje z przyjacielem, który zaszył się gdzieś na Mazurach i nie dawał znaku życia od roku. Od czasu do czasu Krzysiek przekazywał mu jakieś zdawkowe pozdrowienia, napomykając przy tym niejasno, że z Andrzejem źle się dzieje. Ze strzępów informacji wyłaniał się następujący obraz. Rok temu Andrzej, którego Bogdan znał jako sympatycznego i ledwo wiążącego koniec z końcem studenta historii sztuki, odnalazł swojego ojca, który okazał się być potwornie bogaty. Tatuś zapisał mu w testamencie wszystko, co posiadał, po czym uprzejmie raczył umrzeć. Andrzej poczuł się jak król życia i woda sodowa uderzyła mu do głowy. Krzysiek spotkał go kilka razy podczas sesji, gdy Andrzej wpadał na krótko do Krakowa, by zaliczyć konieczne egzaminy. Krzysiek zawsze twardo stał na ziemi i Bogdan daleki był od posądzania go o plotkarstwo, ale cała ta historia mocno pachniała mu telenowelą. Podejrzewał, że „potworne bogactwo” to było w najlepszym razie pół chaty pod strzechą z wychodkiem na polu, położone malowniczo nad jeziorem, do którego pobliski zakład przetwórstwa rybnego nielegalnie spuszczał nocą ścieki.

Znaleźli wolny przedział, wrzucili bagaże na półki, zrobili zniechęcającą minę do małżeństwa z trójką rozwrzeszczanych – pardon – wychowywanych bezstresowo dzieci, które usiłowało się do nich dosiąść i wreszcie zapanował względny spokój. Krzysiek wyjął wałowę, w którą wyposażyla go zapobiegliwa mamusia.

- Często się chłopie, marnie wyglądasz. To od tego siedzenia nad książkami.
- Cha, cha, publiczność ryczy ze śmiechu. Powiedz mi lepiej dokładnie, co właściwie się dzieje z Andrzejem. Przez cały rok pierdykasz półsłówkami...
- Bogdanie, jak ty się wyrażasz! Ja ciebie nie poznaję! Żeby poważny prawnik używał takiego słownictwa! Wstyd!
- ...a teraz nagle robisz alarm, że Andrzeja trzeba wyciągać z rynsztoka. I to w dodatku ja mam być tym cudownym zbawcą.
- Właśnie ty, bo jako przyszyły papug masz gadane. A tu trzeba dyplomatycznie, po przyjacielsku. Ja na początku myślałem, że dobrze mu zrobi wiadro zimnej wody i go troszkę zbyt mocno skrytykowałem...
- Powiedz lepiej, że go zdrowo opieprzyłeś. Już ja cię znam.
- Można to i tak nazwać. – przyznał Krzysiek bez cienia skruchy – W każdym bądź razie ja jestem spalony. Pozostałeś tylko ty.
- Cała nadzieja we mnie, co? To może ja się wreszcie dowiem, o co chodzi?

- Od początku chcesz?
- Od samego. Nawijaj. I daruj sobie ozdobniki; same konkrety i to chronologicznie proszę.

Krzysztof zamilkł na chwilę. Stukot kół wybijał regularnie rytm podróży. Bogdan wiedział, że gdy jutro położy się spać w „luksusowej rezydencji” przyjaciela, usłyszy pod czaszką tę charakterystyczną melodię. Zamknie oczy i ulegnie złudzeniu, że leży na wąskiej kozetce, nad głową powiewa mu tania zasłonka z nadrukiem PKP, a pociąg uwozi go w dal. Kiedyś widział pociąg z samolotu. W ciemnościach wyglądał jak świetlna gąsienica.

- Wiesz, jakie było życie Andrzeja... – odezwał się niespodziewanie Krzysiek – Biedny jak mysz kościelna, nie miał żadnej rodziny, tylko matkę. Spotkałem go pół roku temu w Warszawie...
- Przecież tkwił na Mazurach?
- Akurat. Przez pierwsze trzy miesiące, potem wyrwał się w szeroki świat. Siedzieliśmy razem w jakiejś knajpie, Andrzej był hm... w dość rozmownym nastroju... prawdę mówiąc kompletnie pijany... w ten sposób dowiedziałem się paru szczegółów z jego życia, nawiasem mówiąc, on sam wiedział o tym od niedawna...

Powoli z rezerwą Krzysiek opowiedział Bogdanowi skomplikowane dzieje życia Andrzeja. Rzeczywiście brzmiało to jak telenowela. Dwadzieścia cztery lata temu jego matka w lecie pracowała dorywczo jako pokojówka w prowincjonalnym hoteliku. Kiedy po jakimś czasie zorientowała się, że jest w ciąży, wiedziała wprawdzie, który z gości był tego sprawcą – nie zawitało ich tak wielu do położonego na uboczu pensjonatu – ale nie miała zielonego pojęcia, jak go odnaleźć. Nie знаła jego nazwiska, tylko imię. W księgach też go nie znalazła. Pensjonat niezbyt dokładnie prowadził ewidencję gości, kierownik połowę wczasowiczów przyjmował na lewo, a kasę chował do kieszeni. Wprawdzie doskonale pamiętała jego twarz, ale to było za mało. Stała się samotną matką. Cóż, smutne konsekwencje lekkomyślnego, wakacyjnego romansu... Gdy Andrzej miał osiemnaście lat, zachorowała na raka. Przeważnie leżała w domu poza okresami chemioterapii w szpitalu. Całymi godzinami oglądała telewizję. Pewnego dnia zobaczyła wywiad z bogatym kolekcjonerem dzieł sztuki. Rozpoznała w nim ojca Andrzeja. Ludzie w średnim wieku nie zmieniają się już tak bardzo. Istnieje wielka różnica pomiędzy dwudziestolatkiem a pięćdziesięcioletkiem. Jednak ojciec Andrzeja, w czasach gdy uwodził młodziutkie pokojówki, miał około czterdziestki i należał do tych mężczyzn, którzy właśnie w tym wieku wyglądają najlepiej – przystojna męska twarz, na której pod wpływem wilczego uśmiechu pojawia się kilka seksownych zmarszczek przy syjących łobuzerskie iskierki oczach. Istny George Clooney! Nietrudno było go rozpoznać po 18 latach. Jako sześćdziesięcioletek wyglądał prawie tak samo, tylko włosy przyprószyła

mu siwizna, a cera poszarzała. Dwa lata później umierając, matka wcisnęła Andrzejowi do ręki pomiętą kartkę papieru z imieniem i nazwiskiem jego ojca. Załamany po jej śmierci, zmuszony do zorganizowania sobie życia na nowo, nie myślał o poszukiwaniach. W końcu przeżył bez ojca 20 lat i jakoś sobie dawał radę. Minęły kolejne dwa lata, zanim postanowił go odnaleźć. Okazało się to nadspodziewanie łatwe. Była partyjna szacha, następnie biznesmen i kolekcjoner dzieł sztuki po wycofaniu się z interesów wiodł wygodne życie w swym olbrzymim domu nad małym prywatnym jeziorkiem w mazurskiej głuszy. Na początku starszy pan nie chciał w ogóle słyszeć o tak głupim pomysle jak to, że może mieć syna. Ale wkrótce znalazł z Andrzejem wspólny język. Ojciec kolekcjoner – syn student historii sztuki. Bardzo szybko polubili się i milioner postanowił zaryzykować badania DNA. Okazało się, że Andrzej mówił prawdę. Nagle zyskał sympatycznego, choć może nieco despotycznego i upartego ojca oraz dwoje kuzynów, dzieci stryja, który wraz z żoną zginął w wypadku samochodowym w Bułgarii dwanaście lat temu. Ojciec Andrzeja czuł się w obowiązku zaopiekować się nimi, co spowodowało się do finansowania ich zachcianek podczas wakacji i trzymania w szkołach z internatem, żeby mu nie przeszkadzali w pracy. Dziś byli to dorośli ludzie, rozrywkowi studenci i Andrzej był po prostu zachwycony swoją rodziną. Jego ojciec z kolei zachwyił się Andrzejem i to do tego stopnia, że zapisał mu w testamencie nie tylko swoje zbiory lecz także większą część majątku. Miesiąc później umarł na zawał serca, co nikogo nie zdziwiło, bo miał już dwa zawały, sześćdziesiąt osiem lat, a na dodatek był cholerykiem. Zdenerwował się na służącą, że przyniosła mu zimną herbatę. Służącą ten błąd kosztował pracę, a staruszka życie. Andrzej niezbyt długo opłakiwał ojca, którego znał zaledwie rok. Wkrótce zaczął korzystać ze swojej fortuny spontanicznie i bez namysłu. Zaczął się bawić. Niekończące się imprezy, alkohol, dziewczyny i najgorsze z tego wszystkiego – narkotyki, przy pomocy których zdawał egzaminy. Beztrudnie hulanki w towarzystwie przypadkowych znajomych zabierały mu czas, który dawniej przeznaczał na naukę. Andrzej zachowywał się jak król świata.

- Zmienił mu się także charakter. Stał się trochę zarozumiały – czy po prostu nazbyt pewny siebie. Nie chciał słuchać żadnych rad i prawdę mówiąc, nienajlepiej traktował te swoje liczne panienki. Fakt, że spędza wakacje u siebie w domu, a nie w Monte Carlo świadczyłyby o tym, że chyba trochę ochłonął... Ale nie dam za to głowy...
- Jesteś pewien tych narkotyków?...
- Jak tego, że tu stoję. Jeszcze żeby to była trawka, albo coś w tym guście, to nie martwiłbym się AŻ tak bardzo. Ale z tego co wiem, to jakiś grubszy towar.

Bogdan zamyślił się. Trzeba będzie z tym Andrzejem poważnie pogadać. Tymczasem się prześpi. Co ma być, to będzie.

Świtało, gdy się obudził. W całym pociągu panowała cisza i spokój. Nie słychać było, żadnych dźwięków oprócz stukotu kół. Krzysiek spał na przeciwległej kanapie, ściskając w ramionach swój plecak z dokumentami i pieniędzmi. Saszetkę Bogdana zresztą też. Ten Krzysiek – zawsze można było na nim polegać. Bogdan nie potrafił policzyć wszystkich sytuacji, gdy przyjaciel ratował go z tarapatów. Teraz pewnie też, gdyby nie on, Bogdan zostałby okradziony. A jednak to Andrzej w ich trójce był największą oferumą. Z jednej strony poważny – od dziecka musiał zarabiać, bo z pensji matki nie daliby rady się utrzymać, a z drugiej strony strasznie roztrzepany – potrafił wylecieć w kapciach na śnieg, bo się spieszył na autobus. Nie zauważył niczego dziwnego, gdy w liceum Krzysiek dla draki ufarbował włosy na zielono, wszędzie się spóźniał, nie pamiętał nawet własnego numeru telefonu. Przy tym wszystkim był zawsze roześmiany i nie sposób się było na niego gniewać. Dziewczyny za nim szalały, twierdziły, że jest „czarujący”.

Pociąg zaczął zwalniać. Krzysiek ocknął się i rozejrzał.

– Wsiadamy. Zbieraj manele.

Była dopiero ósma, ale już robiło się gorąco. Na zalanym słońcem peronie stał wysoki przygarbiony młodzieniec w niebieskiej koszulce polo i olśniewająco białych spodniach. Bogdan nie znał się na modzie, ale nawet kompletny laik na pierwszy rzut oka stwierdziłby, że muszą to być markowe, porządne i niesamowicie drogie ciuchy.

– Cześć. – uśmiechnął się Andrzej – Fajnie, że jesteście.

– Hej! – Krzysiek łupnął go w łopatkę – Fajnie, że ty jesteś! Punktualnie! Szczerze mówiąc, nie liczyłem na to.

– Ewelina mnie wypchnęła z domu. – wyznał Andrzej beztrąsko – Zupełnie zapomniałem, że wy dzisiaj przyjeżdżacie. Chodźcie, zaparkowałem tam w cieniu.

– Ewelina to jest kto? – zagaił delikatnie Bogdan, przypominając sobie opowieści o haremie Andrzeja i zastanawiając się w towarzystwie jak wielu dam przyjdzie mu spędzić wakacje. Nie była to bynajmniej idea odpychająca.

– Moja kuzynka. Długonoga brunetka jeśli cię to interesuje. Studiuje dziennikarstwo. W ogóle spotkacie tam samych studentów. No prawie. Jeszcze jest Adam i pani Basia. Opowiem wam po drodze, czekają nas dwie godziny jazdy.

Zapakowali się do jeepa i ruszyli z kopyta. Styl, w jakim Andrzej prowadził samochód, w pełni odzwierciedlał jego osobowość. Wszystko co żyło, w popłochu pryskało spod kół.

- To kto tam w końcu jest? Ta sama ekipa, z którą balowałeś w Warszawie? – w głosie Krzyśka można było usłyszeć lekką nutkę ironii.
- Wszystkiego czekaj... beze mnie sześć osób. Ewelina, jej brat, a mój kuzyn, Maciek – zupełne przeciwieństwo Eweliny. Studiuje prawo i już teraz zachowuje się jak notariusz. Straszny nudziarz.
- Dzięki. – mruknął Bogdan.
- No może trochę przesadziłem. – zaśmiał się Andrzej – Nie bierz tego do siebie. W gruncie rzeczy Maciek jest dość sympatyczny, da się z nim pogadać, poimprezować. Tyle, że jak rozmowa schodzi na prawo, to koniec. Monolog. Chyba jeszcze do niego nie dotarło, że nie wszyscy uważają kodeksy i ustawy za szalenie fascynujące. Dalej dziewczyna Maćka o wdzięcznym imieniu Lola Marlena. Podobno na cześć najśłynniejszej roli Marleny Dietrich, ale nieoficjalna wersja głosi, że jej rodzice przyszli na chrzest mocno skacowani. Z wiadomych względów w użyciu pozostaje tylko ta druga część imienia. Marlena jest studentką KWiCh-u.
- A co to jest? – zdziwił się Krzysiek.
- Kosmetologia, Wizaż i Charakteryzacja. Podobno bardzo trudne, choć ja tam tego nie zauważyłem. No owszem wiedzę o mazidłach ma dużą, ale... Zresztą sami zobaczycie. Z charakteru podobna do Maćka. Dobrali się.
- To dopiero trzy osoby, wspominałeś coś o jakimś Adamie, Basi...
- Aaa... Pani Basia to osoba wyjątkowa. – zaczął Andrzej i nagle wdepnął hamulec – Pokażę wam coś. Skoro już tu jesteśmy...

Cofnęli się kilkanaście metrów i skręcili w małą ścieżkę, prawie niewidoczną na tle lasu, tak wąską, że jeep z trudem mieścił się pomiędzy drzewami. Andrzej zatrzymał się na małej polanie i ich oczom ukazał się niezwykle widok.

Bogdan wysiadł i z przyjemnością odetchnął świeżym, wonnym powietrzem sosnowego lasu, jakże innym od miejskiego, rozgrzanego smogu. Chłodny cień sprawiał, że pomimo nocy w pociągu, Bogdan czuł się wypoczęty i rześki. I lekko zaskoczony.

- Zastanawiacie się pewnie, skąd wziął się w środku lasu, z dala od siedzib ludzkich, cmentarz. – w głosie Andrzeja brzmiało zadowolenie z wywołanego wrażenia – Musiała być tu jakaś osada pewnie zmieciona z powierzchni ziemi przez którąś wojnę. Cmentarz ocalał, zapomniany przez wszystkich, gdy okoliczne tereny porósł las. Chyba napuszczę na nie kumpli z archeologii. Tymczasem możemy podziwiać, na oko siedemnastowieczną nekropolię. Wspaniale zachowaną, między innymi dlatego, że nikt nie ingerował.

Po wojnie tu były tereny wojskowe. Żołnierze robili sobie podchody, ale od grobów trzymali się z daleka. Cywile mieli zakaz wstępu.

Bogdan i Krzysiek rozglądali się. Dziwne wrażenie sprawiało to opuszczone cmentarzysko pośrodku puszczy. Kilkadziesiąt grobów. Ponad połowę stanowiły ziemne mogiły, zwykłe pagórki porośnięte zieleń ze spróchniałymi drewnianymi krzyżami. Pomiędzy nimi rzadko rozsiane stały rozsypujące się kamienne grobowce. Dawało się odczytać fragmenty napisów, epitafia. Bogdan poszedł w kierunku walącej się kapliczki. Porosła mchem, otoczona przez przebojowe brzoźki, pragnące odzyskać dla siebie ten kawałek lasu, istny cud, że jeszcze stała. Drzwi były otwarte. Wzrok Bogdana szybko przyzwyczał się do mroku, jaki panował wewnątrz. Tylko pojedynczy promień słońca, przefiltrowany przez pajęczyny zarastające wysoko umieszczone okienko, rozpraszał ciemności. Drobin kurzu tańczyły w strumieniu światła. Na ścianach umieszczone były tablice z nazwiskami ludzi pochowanych pod zniszczoną posadzką.

- Niesamowite, nie? – wyszeptał Andrzej tuż obok niego. – pomyśleć, że nikt tu nie zaglądał od trzystu lat!
- Ty odkryłeś to miejsce?
- Nie, mój ojciec. On też kazał zrobić dojazd. Wojsko sprzedało mu ten teren, bo przylegał do jego ziemi.

„Już widzę, jak armia sprzedaje komuś swoje tereny tylko dlatego, że tak mu wygodnie. – pomyślał Bogdan – Ten ojciec faktycznie musiał być jakiś partyjny ze znajomościami.”

- Starał się zainteresować władzę, ale wiesz, jak jest. Na wszystko brakuje kasy. Powązki się sypią, kościoły się walą, więc mają lepsze rzeczy do roboty niż restaurowanie jakiegoś tam cmentarza, wątpliwą atrakcję turystyczną. Nie rozgłaszaliśmy szerzej informacji o znalezisku, bo baliśmy się hien cmentarnych. Szkoda by było, gdyby zniszczyli taki zabytek.

Nagle zadzwonił telefon. Cała trójka rzuciła się do swoich aparatów, odstawiając taniec paralityków, bo żaden nie pamiętał, w której kieszeni znajduje się jego komórka.

- Tak, słucham? – odebrał Andrzej – A to ty... Niedaleko, na cmentarzu... Dobra, już jedziemy... Cześć, pa. Koniec zwiedzania proszę wycieczki, Ewelina nas popędza, czekają ze śniadaniem. Zawsze jemy śniadanie koło dziesiątej, żeby nie robić kłopotu pani Basi. Nie będzie przecież robić kanapek dziesięć razy dziennie, w zależności od tego, kto kiedy wstanie. A jak ktoś nie wstanie na dziesiątą, to musi sobie sam coś zrobić, rączek nie ucięło, jak mawia pani Basia. Ale nie radzę. Po pierwsze; pani Basia bardzo nie lubi, jak jej się ktoś płacze po kuchni, po drugie; śniadania pani Basi to czysta

poezja i szkoda, żeby was miały ominąć. Tak samo jak obiady i kolacje. Ale dzisiaj kolację musimy zrobić sami, bo pani Basia ma wychodne.

- Pani Basia długo u ciebie pracuje? – zapytał Bogdan zastanawiając się mimochodem, czy jest ona następczynią owej służącej od zimnej herbaty.
- U mojego ojca pracowała ponad 20 lat. Pani Basia to prawdziwy skarb i niekwestionowana władczyni tego domu. Nawet Ewelina się jej nie przeciwstawia.
- A właśnie – przypomniał sobie Krzysiek – miałeś nam powiedzieć, kogo tam zastaniemy.
- Oprócz Eweliny, Maćka, Marleny i pani Basi, jest jeszcze Adam i Wanda. Poznałeś ją chyba w Warszawie, kiedy...
- Tak, tak, a ten Adam?

Bogdan spojrział na Krzyśka zaskoczony. Trochę dziwna była ta reakcja, zupełnie jakby nie chciał się przyznać do znajomości z tą Wandą... „Cierpisz na manię prześladowczą chłopie. – zbeształ sam siebie – Dobrze ci zrobią wakacje, bez kazusów, przestępstw i kodeksu karnego”.

- Adam Grążelowski to gościu z fundacji na rzecz odnowy zabytkowych kamienic w najbardziej zaniedbanych miastach Polski. Czy jakoś tak. Nieważne. Istny maniak. Przyjechał w nadziei, że sfinansuję jakiś cały wielki projekt, zupełnie jakbym był Rothschildem.
- A nie jesteś? – zapytał nietaktownie Krzysiek.
- No wyobraź sobie, że jednak nie. Co jakiś czas przekazuję pewną sumę na rzecz tej fundacji, ale nie zamierzam się wypsztykać z całej forsy. Zaprosiłem go, bo myślałem, że może zainteresuje go ten cmentarz i wreszcie zajmą się nim konserwatorzy z prawdziwego zdarzenia, ale okazuje się, że nie. Jego interesują tylko kamienice. Wąska specjalizacja. Ze śmiertelną powagą namawia mnie, żebym spisał testament na korzyść jego fundacji, bo w końcu żony nie mam, dzieci nie mam, a wypadki chodzą po ludziach. Poza tym nie ma za grosz poczucia humoru. Wszyscy robią sobie z niego jaja, a on bierze każdy żart na serio.

Andrzej zamilkł, bo dojechali na miejsce. Las skończył się nagle i ich oczom ukazała się wielka, ceglana rezydencja zbudowana na wzór typowych mazurskich domków, ale przerastająca je ogromem. Na ganku, do którego z dwóch stron prowadziły schody, stała korpulentna kobieta w sile wieku. Groźnie zmarszczone czoło, poniżej gładko zaczesanych, ciemnych włosów, nie wróżyło nic dobrego.

- Ile jeszcze będziemy czekać! Jędrus to zupełnie jak dziecko! Najpierw Ewelinka musiała mu przypomnieć, żeby wyjechał po gości, a teraz zamiast przywieźć ich do domu, to włóczy się po lasach, choć oni pewnie zmęczeni i głodni!
- Przepraszam, pani Basiu, to się już więcej nie powtórzy! – kajał się Andrzej ze skruszoną miną i iskierkami wesołości w oczach.
- No dobrze... – mruknęła udobruchana gosposia – Niech idą, śniadanie stygnie.

Zza pleców pani Basi wyjrzała wysoka brunetka.

- Ciebie to po śmierć posłać! – zawołała wesoło, naśladowując kresowy akcent gosposi – Pani Basia odchodziła już od zmysłów i wyobrażała sobie wszystkie rodzaje katastrof, jakie mogły wam się przytrafić!
- Bogdan i Krzysiek, moi przyjaciele, o których wam opowiadałem – przedstawił ich Andrzej – moja kuzynka Ewelina.

Brunetka mocno uściśniła dłoń Bogdana, prezentując w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Jej hiszpańskie oczy szklily się radością życia. „Szklily się... To dobre określenie. Szklily się radością życia – dokładnie tak...”. Ale nie miał czasu zastanawiać się nad tym dłużej, bo Ewelina wprowadziła ich do wielkiego pokoju, salonu i jadalni zarazem. W skórzanym fotelu naprzeciwko wejścia siedział chudy facet i czytał jakieś opasłe tomisko. Bogdan ocenił go na jakieś trzydzieści lat, ale mógł być młodszy. Na widok wchodzących odłożył książkę grzbietem do góry – Jan Samek „Polskie rzemiosło artystyczne” zanotował Bogdan kątem oka – i wstał, żeby się przywitać. Wymamrotał coś pod nosem i podszedł do masywnego owalnego stołu, przy którym siedziała reszta towarzystwa. Po kolei Andrzej przedstawiał im domowników.

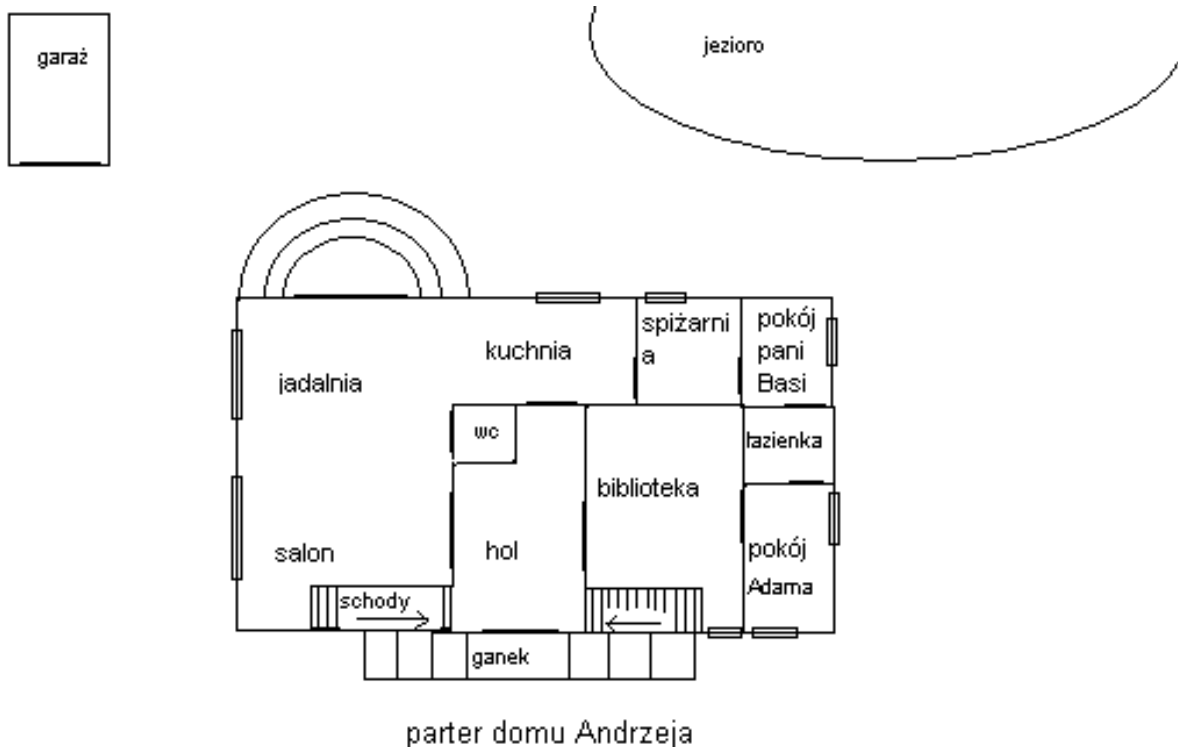
- Wanda, nasza urocza stokrotka, która kiedyś będzie krajać bezbronnych ludzi na stole operacyjnym, serdeczna przyjaciółka Eweliny i moja...

Krzysiek błysnął złowrogo oczami, a przedstawiona w ten dwuznaczny sposób niska blondyneczka, udała, że go nie zauważa.

- Maciek, mój kuzyn. Znajdziecie wspólny temat do rozmów, obydwaj studiujecie prawo.

Bogdan mógłby przysiąc, że w niewinnym tonie Andrzeja usłyszał nutę złośliwości. Najwyraźniej jednak Maciek pozbawiony był takich podejrzeń, gdyż potrząsając ręką Bogdana tak, że biedak czuł się jakby całe jego ciało opanowały epileptyczne drgawki, wyrażał swoją radość z przybycia „kogoś sensownego”.

- Oni się tutaj na niczym nie znają – wyznał Bogdanowi, a jego okrągła buzia promieniała błogością jak oblany lukrem księżyc w pełni.



Przybycie pani Basi położyło kres wylewnym powitaniom. Bogdan został usadzony, przez czyniącą honory domu Ewelinę, pomiędzy Krzyśkiem a Wandą. Naprzeciwko niego siedziała Marlena, ale nawet widok postrzępionych loczków ufarbowanej na rudo trwałej ondulacji tudzież szczerzących się do niego w czarującym uśmiechu krzywych ząbków, nie mógł mu odebrać apetytu. Pani Basia przygotowała prawdziwe delicje. Pochłaniając rozplływające się w ustach przysmaki, dżemy, pasty, pasztety, wędlinę, wszystko niezwykle aromatyczne, zakąszając to puszystym chlebkiem domowej roboty, Bogdan przysłuchiwał się rozmowom toczonym przy stole. Marlena usiłowała oszołomić Krzyśka blaskiem swej elokwencji, co jej się w dużym stopniu udawało. Biedak wyglądał, jakby chciał uciec. Wanda z Eweliną zastanawiały się, czego pani Basia dodała do tej rewelacyjnej pasty rybnej, którą Bogdan degustował właśnie z niebiańskim zachwytem wypisanym na twarzy, nie wiedząc nawet, że w tej samej chwili pozyskuje sympatię gospośni obserwującej go z kuchni. Adam milczał, a Andrzej z Maćkiem zastanawiali się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem.

- Na grzyby nie ma sensu iść – zawyrokował Maciek – ostatnio było tak sucho, że z pewnością nic nie znajdziemy.
- Na ryby też lepiej nie, bo jak tak dalej pójdzie, to staw nam się wyludni.
- Chyba wyrybi...

– Mniejsza z tym. Poza tym pani Basia nas prześwięci, jak jej znowu przyniesiemy worek ryb do oprawienia. – odparł Andrzej, ucinając tym samym dyskusję, bo pozycja pani Basi była w tym domu niepodważalna.

– To chyba pozostają tylko żagle.

Bogdan podniósł głowę. Minęły trzy lata, odkąd ostatni raz kołysał się na falach. Opanowało go gwałtowne pragnienie, żeby znów znaleźć się na pokładzie jakiejś łódki. Teraz, zaraz!

– Jeśli chcecie pływać, to tylko do obiadu. – wtrąciła Ewelina – Ciśnienie spada, idzie na zmianę frontów i po południu może być nieprzyjemnie.

– A tak bardziej po ludzku? – zapytał Andrzej.

– Będzie lać. I to mocno. Wprawdzie deszcz powinien spaść dopiero w nocy, ale lepiej się nie wypuszczać. Tym prognozom za bardzo wierzyć nie można. Pamiętajcie, co było w Piszcu w 2002 roku?

Wszyscy pokiwali głowami w nagle zapadłej ciszy.

– Ja nie wiem, co się stało w Piszcu w 2002 roku. – Bogdan zwrócił się do Eweliny.

– Meteorolodzy zapowiadali burzę. Miała przyjść pod wieczór, ale zjawiała się w samo południe i spustoszyła puszcę piską. Położyła stuletnie drzewa, pozatapiała jachty, powybiła szyby w oknach, pozrywała kable i pozbawiła ludzi prądu. Przez kilka dni drogi były nieprzejezdne, tyle na nich leżało połamanych gałęzi. Zwykły deszcz i tyle.

– Jednak rzeczywiście lepiej nie żeglować po południu. Ostrożności nigdy za wiele – Marlena zwróciła się do Maćka głosem przepełnionym piskliwą słodyczą – Nie wypłyniesz misiaczku, prawda?

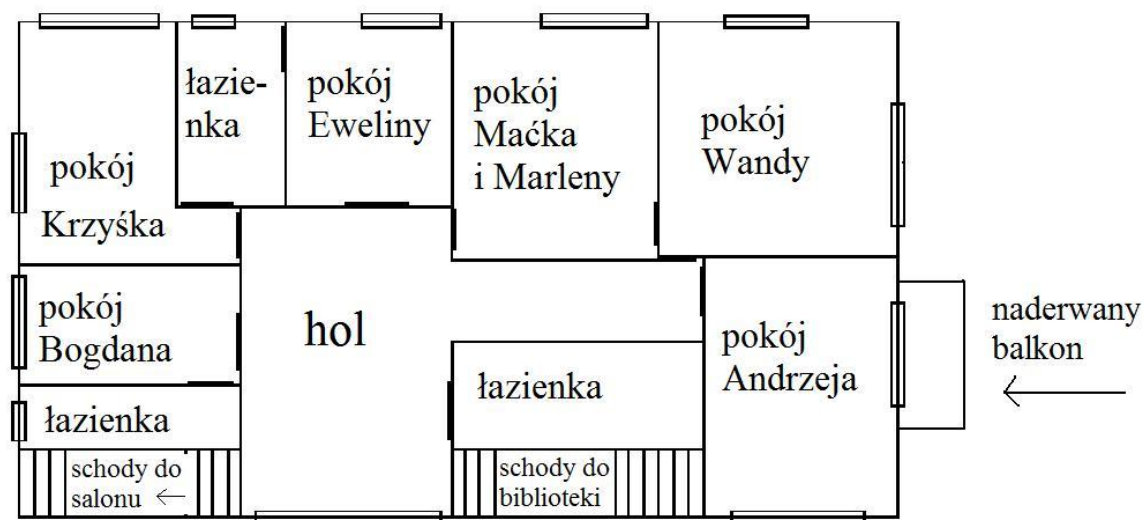
Krzysiek ze stukiem odłożył widelec, dając tym samym do zrozumienia, że tym razem definitywnie stracił apetyt. Ewelina na sekundę uniosła oczy ku niebu, całą sobą wyrażając myśl „Z kim to się zadaje mój biedny brat!”. Andrzej rzucił w kierunku Bogdana porozumiewawcze spojrzenie. Pani Basia wkroczyła z werwą do jadalni.

– Jak już nie jedzą, to ja zabiorę. – oznajmiła w przestrzeń i nie czekając na odpowiedź, zaczęła zbierać talerze.

– Pani Basia lepiej od nas wie, kiedy skończyliśmy jeść, kiedy jest nam zimno i powinniśmy ubrać dodatkowy sweter oraz kiedy jesteśmy zmęczeni i najwyższy czas żebyśmy poszli spać. – konspiracyjnym szeptem poinformował go Andrzej.

Bezpośrednie wyjście z jadalni prowadziło na plażę. Andrzej, Maciek i ponury Adam poszli przygotować jacht. Ewelina rozłożyła się na trawniku, wystawiając twarz do słońca.

- Może byś nam pomogła! – zawołał zirytowany Maciek, usiłując się wyplątać z liny kotwicznej – Od czego masz ten patent sternika jachtowego?!
- Właśnie po to, żeby się nie przemęczać. Załóżcie fokę, przykręćcie bom, leży w garażu, zbuchtujcie na nowo wszystkie liny, a ja potem przyjdę sprawdzić czy dobrze.
- Ewelina... – Bogdan stanął tuż nad nią – Ja też chciałbym popływać, ale najpierw wziąłbym prysznic po tej podróży, zaczekacie na mnie?
- O, nie musisz się wcale śpieszyć. Im to zajmie trochę czasu. Mój brat jest wyjątkowym beztalenciem żeglarskim, a Adam nigdy wcześniej nie pływał. Jeden Andrzej się orientuje, dlatego zostawiam ich samych, żeby się przy nim poduczili. Masz spokojnie pół godziny.
- A nie wiesz, który pokój jest mój?
- Na pierwszym piętrze, ten z zielonymi drzwiami. Twoje rzeczy już tam są. Łazienka obok też jest do twojej wyłącznej dyspozycji. Czuj się jak u siebie.



pierwsze piętro

Rozdział II

Bogdan wszedł powoli na pierwsze piętro. Zielone drzwi znajdowały się tuż obok schodów po lewej stronie. Pchnął je lekko. Pokój był duży i bardzo jasny. Drewniane okno zajmowało niemal całą szerokość ściany. Bogdan zbliżył twarz do poprzecinanej szprosami szyby. Widok był mało ciekawy; klomby kwiatów na wzorowo utrzymanym trawniczku, prowadząca do garażu alejka z czerwonej kostki a w odległości stu metrów ściana lasu. Nie zobaczyłby jeziora, nawet gdyby się mocno wychylił. Pod oknem stała potężna, rzeźbiona skrzynia ludowa. Bogdan usiadł na niej i przyjrzał się krytycznie pomieszczeniu. Nie tego się spodziewał. Inaczej wyobrażał sobie dom kolekcjonera dzieł sztuki. Sądził, że zobaczy stare komódki, zabytkowe zegary. Na postumentach będą stały kruche wazy z epoki Ming, Cieng czy jakiegokolwiek innej, a na ścianach dostrzeże poczerńiałe Rembrandty w finezyjnych ramach koloru starego złota. Powinien spać w przepadlistym łożu z baldachimem, stąpać po dębowej boazerii, a na stoliku o przepisowo wygiętych nóżkach powinna spoczywać lampka zdradzająca subtelnym rysunkiem na abażurze secesyjne pochodzenie i – koniecznie! – czarny, błyszczący telefon rodem z dwudziestolecia międzywojennego. Tymczasem Bogdan patrzył na jasne sosnowe mebelki, jakże banalne w swej nowoczesności, pomarańczowy dywan i plastikowy aparat telefoniczny przypominający model rakiety, jakim bawił się w dzieciństwie. Właściwie jedynym przedmiotem odpowiadającym jego rozszalałej wyobraźni była skrzynia, na której siedział. „Nie mam żadnego szacunku dla zabytków, doprawdy...” Nie zdziwił się już, gdy łazienka nie oczarowała go ręcznie malowanymi kafelkami i wanną w kształcie łabędzia. Wystrój wnętrza był zgodny z duchem XXI wieku.

Bogdan wytrzepał zawartość swojego plecaka na łóżko. Mydło było, ale zapomniał kremu do golenia. Golić się, czy się nie golić? Rzut oka do lustra w łazience upewnił go, że wygląda już jak zbir. Wyszedł na korytarz, wybrał drzwi na chybił trafił i zapukał. Cisza. Zapukał obok. Łomot, bolesciwy okrzyk i stłumione przekleństwo, po czym drzwi otworzyły się gwałtownie.

- A to ty... – stwierdził Krzysiek wyraźnie rozczarowany.
- A co, myślałeś, że królowa Śnieżka? – odparł Bogdan rzeczowo – Czy może królowa angielska, ale w takim razie nie chcę cię martwić lecz te bokserki stanowczo musisz

przebrać. Obawiam się, że damy z arystokracji nie gustują w deseniach typu czerwona kratka na zielonym tle.

- Ach, pan takich nie nosisz, hrabio...
- Skądże znowu Janie, ja noszę takie w zielone serduszka. Do rzeczy – masz krem do golenia?
- Trzymaj i spadaj.
- Twa gościnność mnie powala. Mogę wiedzieć, dlaczego od rana jesteś w złym humorze?
- Też byś nie tryskał radością życia, gdybyś się poślizgnął w łazience. Wszystko przez ciebie, patafianie, spieszyłem się, żeby ci otworzyć, a jeszcze chciałem najpierw znaleźć coś sensownego do ubrania.
- To ci się w istocie udało.
- Czy ty mnie przedrzeźniasz?
- A jak ci się wydaje, frajerze? Pozostawiam cię teraz sam na sam z twą frustracją i tuszą, iż w kojącym zaciszu twej samotni przeminie ból targający twą duszą i ciałem.
- Zjeżdżaj!

Ogolony i wyświeżony, pachnąc szałowo wodą kolońską i starając się nie słyszeć dobiegających z pokoju Krzyśka dziarskich okrzyków „Baśka miała fajny biust!”, (ciekawe, czy gosposia miała poczucie humoru na temat tej piosenki?) powoli i dystyngowanie wszedł na dół. Schody były stanowczo reprezentacyjne. Dębowe, masywne, z ręcznie rzeźbioną poręczą pasowały do stereotypu, jakiemu hołdował Bogdan. Zresztą wszystko w salonie kontrastowało z umeblowaniem jego pokoju. Kasetony na suficie, niedźwiedzia skóra przed kominkiem, parkiet bez skazy. Bogdan musiał przyznać, że to pomieszczenie spełnia całkowicie jego wymagania. Dostrzegł wygięte „Wreszcie!” nóżki krzesełek przy stole w jadalni, zdał sobie sprawę, że jadł srebrnymi sztućcami, a talerzy na pewno nie kupowali na sztuki w jakimś hipermarkecie. Pokój Krzyśka też był podobnie urządony. Stała tam chyba gdańska szafa...

- Stoi u ciebie gdańska szafa? – zwrócił się z natarcywym pytaniem do Krzyśka, który w tym momencie wszedł do salonu.
- Stoi jakaś kobyła, ale nie przedstawiała mi się, więc nie wiem skąd pochodzi.
- A jak ty się tu w ogóle znalazłeś? – zdziwił się Bogdan. Zauważyłby chyba, gdyby ktoś go minął na schodach.
- Są drugie schody, chodź, pokażę ci.

Krzysiek zaprowadził go do biblioteki. Znajdowały się tam schody identyczne jak te w salonie oraz cała masa książek. W rogu pomieszczenia pod kinkietem stał brązowy, skórzany fotel, stworzony do tego, by w jego objęciach zatonać w lekturze.

– To chyba białe kruki... – Krzysiek wskazał najwyższą półkę.

Bogdan przysunął do regału małe schodki i sięgnął po pierwszą z brzegu pozycję, która okazała się być niesłychanie ciężkim, oprawnym w skórę tomem.

– Łap! – krzyknął zduszonym głosem.

– Chcesz mnie zabić?! Rzucać w ludzi taką cegłą!

– Bo to powinno stać gdzieś nisko, a nie na najwyższej półce. Na moje oko to się kwalifikuje do muzealnej gabloty.

– Myślisz, że jakiś szlachcic kupił sobie za to kilka wsi?

– Z pewnością. A teraz to jest warte jeszcze więcej. Że też Andrzej nie boi się trzymać tego w domu...

– Pomyśl logicznie; nawet gdyby jakiś złodziej to ukradł, to daleko nie ucieknie, a jak upuści na podłogę, to będzie taki huk, że wszyscy się zerwą na równe nogi. Nie trzeba alarmu.

– Lepiej odstawmy to na półkę...

– Daj cherlaku, ja to zrobię...

Bogdan, który spodziewał się, że zastanie jacht gotowy do odejścia, zdziwił się trochę, gdy zobaczył Ewelinę nadal leniwie wygrzewającą się na trawie, podczas gdy Maciek z Andrzejem biegali po pomoście.

– I jak im idzie? – zapytał.

– Tragicznie. Poszłam tam, żeby im pomóc, to Maciek się na mnie obraził, że on wszystko doskonale sam potrafi. Nie to nie. Radzę wam uzbroić się w cierpliwość.

Bogdan i Krzysiek popatrzyli na siebie. Bierne czekanie nie leżało w ich naturze. Ruszyli w stronę pomostu. Z obłędem w oczach Andrzej tłumaczył coś Maćkowi, który niezmiennie kręcił głową i wydawał komendy Adamowi. Ten ostatni nie mając zielonego pojęcia, czego od niego chcą, udawał, że coś robi, zerkając niepewnie to na Andrzeja to na Maćka.

– Hej! Przyłączymy się do was! – zawołał Bogdan – Ja już kilka lat nie byłem na żadnej łódce, nie odmówisz mi chyba tej przyjemności, co Andrzej? – dodał, całkowicie ignorując Maćka.

Wskoczył na łódkę. Krzysiek, majstrujący już na dziobie, odwrócił się w jego stronę.

– Skombinuj klucz do szekli, bo nie dam rady jej odkręcić. – rzucił przez ramię.

- Narzędzia są w skrzynce w garażu, pokażę ci gdzie. – zaproponował prędko Andrzej, z ulgą uciekając ze strefy wpływów naburmuszonego Maćka.

Garaż był bardzo duży. Stał tam jeep Andrzeja i BMW Maćka, ale Bogdan ocenił, że mogłyby się tam zmieścić co najmniej cztery auta, gdyby nie był tak zagracony. Znajdowały się tam wszystkie samochodowe, żeglarskie i ogrodnicze szejpe, jakich dorobili się domownicy przez dwadzieścia lat. Pod ścianami zalegały stare akumulatory, kawałki nikomu niepotrzebnej karoserii, zapasowe koła, reflektory i poobijane zderzaki. Wśród nich w radosnym uśmiechu szczyrzyły się grabie, kopaczki i inne narzędzia o nieokreślonym przeznaczeniu. Po kątach poniewierały się rozkręcone kosiarki do trawy, listwy do grota, stare koła ratunkowe, worki z podartymi żaglami, które przecież szkoda wyrzucać, bo zawsze można kiedyś oddać do zszycia. Na półkach stały słoiczki z śrubkami i gwoździemi wszelkich kształtów i rozmiarów, młotki, suwmiarki, śrubokręty, kilka zdezelowanych wiertarek i jeszcze wiele innych rzeczy, których w mrocznym garażu można się było tylko domyślać. Klucza do szekli nigdzie nie było widać.

- Wiesz co, on był w takiej małej drewnianej skrzyneczce. – przypomniał sobie Andrzej – Jeśli nie ma na półkach, to musi chyba leżeć gdzieś na podłodze.

Andrzej zaczął przedzierać przez graty po lewej stronie garażu, więc Bogdanowi nie pozostało nic innego, jak zrobić to samo po stronie prawej. Z westchnieniem zaczął odstawiać na bok, wszystko co dzieliło go od ściany. Dwie kotwice wraz z czterdziestoma metrami liny, jeden dziwnie wyglądający bom – Bogdan nie potrafił odgadnąć z jakiej łódki mógł pochodzić – dwie motyki, jedne grabie, trzy rowery, dwanaście kapoków przywodzących na myśl tonącego wieloryba, gdyż najmniejszy był rozmiaru – tak na oko – dwa razy większego od XXL, pięć niedbale zbuchtowanych lin, całą siatkę zepsutych karabinków, pięć wiosel o dziwo w dobrym stanie, aż wreszcie natknął się na poobijany kadłub omegi, którą ktoś beztróska położył dnem do góry tuż przy ścianie.

- Hej potworze z Loch Ness! – zawołał Andrzeja, który usiłował dojść do ładu z trzema poplątanymi i mocno potarganymi sieciami rybackimi. Sprawiał wrażenie, jakby był oryginalnym elementem kłębowa zespójonym z sieciami na amen. – zostaw to barachło i chodź mi pomóc.

Andrzej zrezygnował chwilowo z walki ze złośliwością przedmiotów martwych i ruszył w stronę Bogdana omotany gustowną, szarozieloną szatą.

- Istna rusałka. Mógłbyś grać Goplanę w szkolnym przedstawieniu Balladyny.
- Ty za to wspaniale pasujesz do roli Grabca. Bez charakteryzacji, słowo daję.

Odwalili kadłub na bok i zobaczyli kilka odbijaczy oraz małą drewnianą skrzyneczkę.

- Tego właśnie szukaliśmy. Jeśli tu nie ma tego klucza, to już nie wiem... – mruknął Andrzej szperając w narzędziach – jest!

Wyszli na zewnątrz i po ciemnościach garażu słońce wydało im się oślepiające. Było bardzo gorąco i Bogdan nie mógł już się doczekać chwili, gdy poczuje na twarzy dmący w żagle, chłodny wiatr. Razem z Krzyśkiem w dziesięć minut przygotowali jacht, nie przejmując się tym, że Maciek drepcze po pomoście i usiłuje udzielać im instrukcji. Ewelina, która właśnie nadeszła, krótkim spojrzeniem oceniła efekty ich pracy.

- W porządku. – orzekła, a Bogdan miał wrażenie, że błysk w jej ciemnych oczach przeznaczony był tylko dla niego – Wszyscy są?
- Nie ma Wandy – zauważył Andrzej.
- Pójdę po nią – rzucił Krzysiek, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

Bogdan stwierdził, że jego przyjaciel zachowuje się co najmniej dziwnie. Po chwili wrócił z Wandą i Bogdan, obserwując ich od momentu, gdy wyszli z jadalni, zauważył, że Krzysiek starał się iść jednocześnie blisko niej i na tyle daleko, żeby wyglądało to naturalnie. Ona zaś zachowywała się, jakby w ogóle nie dostrzegała jego manewrów. Bogdan nabrał stuprocentowej pewności, że tych dwoje zna się dość dobrze, ale z jakiś powodów starannie to ukrywa. Zaczęła nurtować go ciekawość, ale uznał, że uzbroi się w cierpliwość. Prędzej czy później Krzysiek nie wytrzyma i sam mu powie, nie ma sensu wcześniej go indagować. Odcumowali. Marlena opalała się na dziobie, choć trudno było przypuszczać, że wpłynie to korzystnie na ilość jej piegów. Krzysiek bezskutecznie bombardował Wandę sygnałami niewerbalnymi. Ewelina wydawała komendy, a Maciek indyczył się przy sterze.

- Niepotrzebnie się fatygowaliście. – odezwał się do Bogdana i Krzyśka, patrząc wilkiem na swoją siostrę. Najwyraźniej podejrzewał, że to ona ich przysłała. – Poradzilibyśmy sobie bez trudu.

Ewelina uniosła jedną brew. „Kwintesencja sceptycyzmu!” pomyślał Bogdan coraz bardziej oczarowany.

- Teraz też mogłabyś sobie darować tę musztrę, „ster prawo, ster lewo”, wiem, co mam robić.
- Nie przeostraj – usłyszał w odpowiedzi.
- A może ja lubię pływać ostro!
- W kącie martwym? Rzeczywiście żegluga po zbój!
- A żebyś wiedziała! Mógłbym pływać bez ciebie i nic by się nie stało. Założysz się?
- Chętnie, ale nie chcę ryzykować życia naszych gości. I szkoda mi „Terpsychory”.

Jacht był naprawdę piękny. Tango, duże i luksusowe, wyposażone we wszystkie możliwe bajery, a przede wszystkim wygodne i bezpieczne. Mimo to Bogdan uważał, że Andrzej powinien zmienić je na coś mniejszego. Jezioro było mikroskopijne i „Terpsychora” wyglądała na nim jak transatlantyk. „Na takiej kałuży to prędzej jakaś omega, albo raczej kajak...”

- Skąd wzięła się nazwa „Terpsychora”? – zapytał Adam – Przecież to muza tańca, z wodą nie ma nic wspólnego.
- Ale ma ze mną! – zaśmiała się Ewelina – Uwielbiam tańczyć, dlatego tak ją nazwałam. Wujek chciał, żeby się nazywała Prozerpina, ale to tak paskudnie brzmi. Jak choroba dziaseł. Zresztą coraz rzadziej spotyka się pomysłowe imiona dla jachtów. Zwłaszcza Brytyjczycy celują w banale.
- Miałaś dużo okazji, żeby się o tym przekonać? – zapytał Bogdan tylko po to, by podtrzymać konwersację. Dziewczyna miała miły głos. Taki aksamitny...
- Owszem. Siedem rejsów morskich. Spotykało się jachty najróżniejszych narodowości.
- Aż siedem? – w głosie Bogdana brzmiało powątpiewanie. Ewelina miała może 23 lata.
- Staram się wcześniej zdawać egzaminy, żeby mieć jak najdłuższe wakacje. W zeszłym roku udało mi się całą sesję letnią załatwić już w kwietniu. Od maja do września zdążyłam wziąć udział w dwóch rejsach po dwa miesiące każdy. Morze Północne i Morze Barentsa.
- I nie boisz się tak pływać po pełnym morzu? – dziwił się Adam – Przecież to musi być szalenie niebezpieczne. Telewizja prawie codziennie donosi o nowych katastrofach morskich, tonących tankowcach wypluwających tony ropy, sztormach, tsunami i tak dalej.
- Gdyby ludzie się bali, żaden statek nigdy nie wypłynąłby z portu. Trzeba podjąć ryzyko i liczyć na to, że w razie sztormu, będziemy mieli szczęście, bo same umiejętności nie wystarczą. Jasne, że staramy się pływać w jak najlepszych warunkach, złą pogodę przeczekać w porcie, ale nie wszystko da się przewidzieć.
- A więc, za każdym razem musisz się liczyć z tym, że możesz nie wrócić?
- Tak. Ale sądzę, że nie ma sensu z tego powodu siedzieć w domu. Każdy zginie tak, jak jest mu pisane. Równie dobrze może mnie przejechać pijany kierowca, kiedy będę grzecznie szła chodnikiem albo na przykład mogę poślizgnąć się we własnej łazience, rąbnąć głową o kant wanny i złamać podstawę czaszki. To już chyba wolę zginąć na morzu.
- W takim razie chyba rozsądnie byłoby spisać testament? – podsunął Adam.

- Nie mam komu pozostawić moich skromnych dóbr – Ewelina uśmiechnęła się ironicznie – a rodzina dziedziczy po mnie bez testamentu.
- Zawsze możesz przekazać swoje dobra na jakiś szczytny cel...
- Na przykład fundusz odnowy zabytkowych kamienic? Wybacz, ale mam wrażenie, że mój brat zrobiłby lepszy użytek z moich oszczędności. Choć czasami ogarniają mnie wątpliwości.
- A założysz się? – zaproponował Maciek impulsywnie.
- O nie, mój drogi, jeszcze nie mam zamiaru umierać! Do zwrotu przez sztag!

Gdy ucichły komendy, a jacht uspokoił się na nowym kursie, Wanda odezwała się po raz pierwszy.

- Nie wyobrażam sobie, jak można dobrowolnie ryzykować swoje życie. Ja bałabym się, że utonę, albo, że komuś z załogi stanie się coś złego i nie będzie można mu pomóc, bo do najbliższego szpitala trzy dni drogi. To brzmi jak koszmar.
- Fakt zdarzają się różne wypadki. Dlatego mamy bardzo porządnie wyposażoną apteczkę, morfina, nici do szycia ran, niemal wszystko.
- A jednak, przeprowadzać operację w takich warunkach... Niehigienicznych...
- Podziwiam za to Wandę, naprawdę – wtrącił Adam – że ona nie boi się przeciąć komuś skóry, to straszne. Ja mdleję na widok krwi.

„Lizus.” – pomyślał Bogdan – „Przez Wandę usiłuje trafić do Andrzeja”.

- Kandydat na chirurga musi być opanowany. – uśmiechnęła się Wanda – Co by to było, gdybyśmy wszyscy mdleli tak jak pan. – po czym zwróciła się z wyjaśnieniem do Bogdana i Krzyska – Dwa tygodnie temu Maciek skaleczył się niegroźnie w nogę... co ty takiego robiłeś?
- Rąbałem drewno.

„Ładne mi niegroźnie! Siekiera to niezbyt subtelne narzędzie!”

- Właśnie. – ciągnęła Wanda – Adam zobaczył stróżkę krwi i z miejsca osunął się na ziemię. Więcej kłopotu miałam, żeby go ocucić niż z opatrunkiem Maćka.
- A jakie konkretnie wykonujesz operacje? – zaciekawiał się Krzysiek.
- Jeszcze nie wykonuję, na razie byłam na praktyce w szpitalu. Chciałabym robić proste rzeczy na przykład wyrostek robaczkowy. Nie zamierzam się bawić w kardiochirurgię, albo, nie daj Boże, operacje mózgu, za duża odpowiedzialność. Nie mogłabym spać po nocach. Na początku to ja w ogóle nie myślałam o chirurgii, chciałam być pediatrą.
- I co wpłynęło na zmianę twojej decyzji?

– Lekkomysłność! – zaśmiała się Wanda – Pomyślałam sobie, że z dwojga złego wolę pokrajać dorosłego człowieka niż zrobić krzywdę dziecku.

Chóralny wybuch śmiechu zatuszował niepewność, jaka ogarnęła towarzystwo po tym beztróskim wyznaniu. Prawdopodobnie wszyscy przysięgli sobie w duchu zastanowić się dwa razy zanim pójdą do lekarza. Jeden Adam siedział ponuro z twarzą jak własna maska pośmiertna. „Tak... Służba zdrowia schodzi na psy! Wszystko przez ten kryzys!...”

– Która godzina? Druga? To właściwie powinniśmy już wracać na obiad. – stwierdziła Ewelina.

– Może popływamy jeszcze trochę, skoro potem ma padać. – z dziobu doleciał senny głosik Marleny – Jest tak przyjemnie...

– Właściwie możemy pobujać się jeszcze godzinkę. Pani Basia chyba nas nie zamorduje...

– Zobaczycie, że ona nas tylko tak straszy. – powiedział Maciek patrząc na siostrę – Nie będzie żadnego deszczu.

– Założysz się?

– Chętnie. O oryginalnego francuskiego szampana. Wybiera wygrany.

– Zgoda. Ja mówię, że deszcz spadnie w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

– A ja mówię, że nie spadnie wcale, albo dopiero jutro.

– Stoi!

– Oni tak zawsze czy tylko dzisiaj? – Bogdan zapytał półgłosem.

– Zawsze. Odkąd ich znam, a będzie już chyba dziesięć lat. – odparła Wanda – Mają fioła na punkcie zakładów. W dzieciństwie zakładali się o absolutnie wszystko. Kto zje więcej jabłek, kto szybciej pochłonie obiad, kto dłużej wstrzyma oddech, kto prędzej wejdzie na czubek drzewa. Nie rozstrzygnęli wtedy tego zakładu. Ja stałam na dole ze stoperem i mierzyłam im czas. Maciek oskarżył mnie o tendencyjność na rzecz Eweliny. Kiedyś założyli się, kto dłużej wytrzyma w lodowatym strumieniu, a był marzec. Skończyło się zapaleniem płuc u obojga i wujek zabronił im się zakładać o cokolwiek, poza rzeczami typu, kto będzie miał lepsze oceny.

– Ale i tak zakładaliśmy się dalej. – wtrąciła Ewelina – Kto pierwszy dobiegnie na przystanek autobusowy, kto w lecie wytrzyma dłużej w kożuchu. Albo prowokowaliśmy się: „Założę się, że nie wyjdiesz na dach internatu”. Mieliśmy czasami naprawdę szatańskie pomysły.

– A co było stawką? – zapytał Krzysiek

– Co się nawinęło – odparł Maciek – Deser, zadanie z matmy, wypracowanie z polskiego, najrzadsze monety, chluby naszych kolekcji numizmatycznych... Potem przyszło nam do

głowy, żeby zakładać się w ciemno, bo to było bardziej emocjonujące. Wygrany miał prawo do jednego życzenia. Zazwyczaj kończyło się na fundowaniu kina, dobrego jedzenia, alkoholu itd.

- Raz Maciek kazał mi zdobyć jakąś rzadką książkę prawniczą w angielskim oryginale. Nakład był bardzo niski, taka niszowa pozycja, więc w Internecie nie do kupienia, tylko w akademickiej księgarni przy uniwerku, który ją wydał. Co ja się nakombinowałam, żeby ją zdobyć! Poprzez korespondencyjną przyjaciółkę we Francji, która miała ciotkę w Anglii, która miała znajomego w Ameryce... Wreszcie przysłali mi ją w paczce, razem z dwiema innymi, bo ów znajomy był już tak skołowany, że sam nie wiedział, co właściwie ma kupić. Triumfalnie przynoszę Maćkowi paskudztwo, kładę na biurku, a on mi na to: „Wiesz, ale ja już skończyłem kurs w szkole prawa amerykańskiego...” Myślałam, że go uduszę!
- A jak ty mi kazałaś zdobyć butelkę oryginalnego niedźwiedziego sadła z Syberii? A ja poza „nas nie dogoniat”, słowa w tym języku nie znam!
- He, he... To była słodka zemsta!
- Hej! – zawołała Marlena z dziobu – Na brzegu stoi pani Basia i macha rękami.
- Oho, musimy wracać. Ster lekko prawo, prawy foka szot luzuj, grota szot luzuj, balast na prawą burtę!
- Mogli sobie jeszcze popływać – powiedziała pani Basia, gdy cumowali przy pomoście – ale był telefon do pana Adama. Zostawił komórkę w jadalni. Jakaś pani powiedziała, że oddzwoni za dziesięć minut.

Adam dziarskim kłusem pobiegł do domu.

- Kto by pomyślał, że do Adama jakaś pani będzie wydzwaniać! – zaśmiała się Wanda.
- A obiad już jest? – zapytał Bogdan przymilnie.
- Za pięć minut, ale niech już siadają do stołu. – zaaferowana gosposia zniknęła w kuchni.
- Widzę, że zdobyłeś serce pani Basi – zauważył Andrzej – Zaprawdę wielki to skarb i nie radzę go stracić!
- Nie zamierzam. Po dzisiejszym śniadaniu!...

Obiad prezentował się naprawdę imponująco. Bogdan przez pięć lat studiów prawniczych w południe żywił się zupkami z torebki, a o północy wiecznie glajdowatym budyniem w proszku rozcieranym małą łyżeczką, żeby nie obudzić współlokatorów oraz czarną kawą o każdej porze doby. Teraz, patrząc na zastawiony smakołykami stół, miał wrażenie, że znalazł się w raj. Z apetytem, który może dać tylko przebywanie na świeżym powietrzu, pochłoniął aromatyczną zupę ogórkową, po czym, nie szczędząc pochwał pani Basi, zabrał się

za drugie danie. Warkocze z kunsztownie splatanych pasków polędwicy polanych sosem borowikowym do tego do wyboru buraczki na ciepło, kapusta zasmażana z kminkiem, marchewka z groszkiem i jakaś bardzo kolorowa sałatka a wszystko podane w salaterkach z najcieńszej porcelany ozdobionej ręcznie malowanymi kwiatkami. Bogdan wzgardził surówką, którą wcinały panie zapewne w trosce o figurę i postawił na tradycyjną kuchnię polską, czyli buraczki i marchewkę, której nie jadł od dzieciństwa. Zaabsorbowany obfitością doznań kulinarnych oraz pilnowanie się, żeby przypadkiem nie zgrzytnąć srebrnym nożem po cennym talerzu, dopiero pod koniec obiadu zaczął zwracać uwagę na toczone przy stole rozmowy. Naprzeciwko niego siedziała Ewelina i właśnie przeciw czemuś ze śmiechem protestowała.

- Nie, nie, nie! Nieprawda! Zresztą to było dawno, więc się nie liczy! Nie wymagaj od dziesięcioletniej dziewczynki, żeby się nie bała pójść w ciemnościach do pokoju, jak jej wujek cały wieczór opowiadał historie o duchach.
- Właśnie, że się liczy, bo ty się od tej pory nic nie zmieniłaś! – upierał się Maciek – nadal jesteś strachajło. Z tego japońskiego horroru uciekłaś w połowie seansu.
- Nie uciekłam, tylko mi komórka zadzwoniła!
- A kto na ścianie wspinaczkowej w klubie pisał „weźcie mnie stąd!!!”?
- No wiesz, a kto zabrał materace z podłogi? Wisiałam półtora metra nad ziemią i nie umiałam zejść – zwróciła się do Bogdana – a ja mam lęk wysokości.
- To, po co wychodziłaś? – zainteresował się Krzysiek.
- Przegrałam zakład. Próba odwagi...
- Darłaś się, jak kot na drzewie. – Maciek delektował się wspomnieniami.
- Ale to było zupełnie, co innego! Nie można porównywać lęku wysokości ze strachem na horrorze!
- Zupełnie to samo. W końcu chodzi o pokonywanie własnych słabości i barier psychologicznych...
- On ma trochę racji – niewinnie wtrącił Andrzej
- ...i ja jestem pewien, że teraz też nie dałabyś rady np. pójść w nocy do lasu.
- Właśnie, że dałabym radę!
- Właśnie, że nie!
- Właśnie, że tak!
- Zakład?
- Zakład! O co?

Maciek zniżył głos.

- O to, że nie dasz rady spędzić całej nocy na cmentarzu w lesie...
- Stoi...
- Wy chyba nie mówicie poważnie! – zaniepokoiła się Marlena – A jeśli coś jej się stanie, kotku, ty nie możesz...!
- Nie przesadzaj – przerwał jej Maciek – umarli nic jej nie zrobią, co najwyżej trochę postraszą...
- A żywi nie będą się plątać po lesie podczas deszczu. – dodała Ewelina, ignorując prowokacyjną uwagę Maćka.
- Przecież nie będzie żadnego deszczu.
- Będzie, będzie. Zresztą już się o to rano założyliśmy.
- To ty możesz się przeziębici! Cała zmokniesz – przestraszyła się Marlena.
- Wezmę sztormiak i gumki. Wrócę o świcie. Szykuj szampana Maciek, bo będę chciała oblać podwójne zwycięstwo.
- Właśnie, a co jest stawką w tym zakładzie? – zapytał Andrzej.

Ewelina rzuciła bratu przeciągłe, zaczepne spojrzenie.

- Satysfakcja...
- Moja satysfakcja – zareagował natychmiast Maciek – Noc będzie suchuteńka, a ty spędzisz ją w domu, bo już o 22 dasz nogę z tego cmentarza. O ile oczywiście będziesz w stanie gdzieś dojść na drżących z przerażenia kolankach.
- Ale wiesz, jakbyś miała umrzeć ze strachu, to lepiej napisz najpierw testament na korzyść Adama, tak jak ja. – zażartował Andrzej.
- Nie omieszkam przekazać mu mojej kolekcji szekli. Jeśli dochód z ich upłynnienia wystarczy na remont, choć jednej belki w zabytkowej kamienicy, będę szczęśliwa na tamtym świecie!

Bogdan zerknął na Adama. Z kamienną twarzą dziobał widelcem w ziemniakach, jakby zastanawiał się, czy Andrzej mówił poważnie. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że wszyscy się z niego naigrawają.

Po sutym obiedzie towarzystwo leniwie rozeszło się po domu.

- Pół godzinki dla słoninki – ogłosił Maciek i każdy zaszył się w swoim kącie.

Bogdan nie miał zwyczaju spać po obiedzie, nawet tak dobrym jak ten, dlatego wybrał się na spacer. Trawnik przed domem, niegdyś regularnie koszony, teraz zdradzał wyglądem, że od dawna nikt się nim nie zajmował. Za to ogródek kwiatowy sprawiał bardzo dobre wrażenie. Żółte, niebieskie i czerwone kwiaty otoczone niziutkim drewnianym płótkiem na pierwszy rzut oka rosące swobodnie jak miniaturowa dżungla, w rzeczywistości zadbane

i wypielęgowane wyciągały w górę swe cienkie łodyżki i wystawiały do słońca swoje beztroskie łepki. Niektóre były wielokolorowe. Wzrok Bogdana przyciągnął kwiatek, który składał się z tysięcy śnieżnobiałych i krwistoczerwonych przemieszanych ze sobą płatków, pozwijanych w rurczki i utkniętych ciasno jeden przy drugim. „Będę musiał zapytać Ewelinę, jak to się nazywa...” pomyślał Bogdan i wciąż zagapiony w kwiatek, mgliście uśmiechając się na myśl o czymś nieokreślonym, ale niewątpliwie przyjemnym, zrobił kilka kroków, gdy niespodziewanie coś chwyciło go za nogę. Robiąc wiatraka rękami, udało mu się wprawdzie uniknąć przebiccia szyi sztachetami sielskiego płotka, ale i tak gruchnął, że aż ziemia jęknęła. Tłumiąc różne niecenzuralne słowa cisnące mu się na usta i rozglądając się niespokojnie, czy nikt go nie widział, pozbierał się powoli, bohatersko powstrzymując się od pocierania bolących miejsc. W miejscu publicznym mogłoby to zostać uznane za „wybryk nieobyczajny”. Wysoko podnosząc nogi, zaczął badać przyczynę swojego upadku. W wysokiej trawie krył się zielony wąż ogrodowy. „Pewnie ktoś podlewał kwiatki i nie zwinął ustrojstwa.” – pomyślał Bogdan i postanowił to naprawić. Ciągnąc za sobą zwój, na końcu którego podskakiwał w trawie pistolet z nakładką typu „mżawka”, doszedł do garażu. Na zewnętrznej ścianie obok kranika z wodą przymocowany był kołowrotek z nawiniętymi jeszcze dwudziestoma metrami węża. Pod spodem stała konewka i jakaś gliniana doniczka do góry dnem.. W trawie walały się małe metalowe pazurki pewnie do odchwaszczania. Bogdan nawinął węża do końca, położył pazurki obok doniczki i poczuł nagle, że chciałby mieszkać na wsi. Cisza, spokój... Żadnych zatłoczonych autobusów, klekoczących tramwajów, smrodliwych rur wydechowych, betonowych bloków z obskurnymi napisami sprayem. Żadnych marcowych koncertów podwórkowych dachowców jęczących niczym dusze potępione. Na wsi miałby mały drewniany domek z glinianą dachówką. Wieczorami siadałby na ławeczce i słuchał koncertu świerszczy. W ogródku pachniałyby mu wonne kwiatki zasadzone ręką pięknej żony. W dali cicho chlupotałoby jezioro. Tak jak teraz. Powiew słabego wiatru marszczył powierzchnię wody w drobne kreseczki. Las po drugiej stronie kusił chłodnym, tajemniczym cieniem. Kto wie, jakie cuda kryją się w gęstwinie. Z zakurzonych zakamarków pamięci wypłynęła odpowiedź:

Tam dziwy są: jest upiór leśny,
Siedzi wśród drzew rusalka blada;
Tam zwierz, widziany tylko z rzadka,
Wyciska ślady ciężkim krokiem;
Na kurzych nóżkach stoi chatka,
Co nie ma wcale drzwi ni okien;

Tam las i jar są pełne widm...¹

„Ten Puszkina!” – westchnął Bogdan – „wieczny romantyk!”. Pograżając się w miłych wspomnieniach, jak w dzieciństwie mama-rusycystka czytała mu na dobranoc bajki rosyjskiego poety, wolno obszedł jezioro dookoła. „Jest też dąb zielony! Brakuje tylko kota uwiązanego na złotym łańcuchu... Jak to leciało?”

- Wiedziałem, że cię tu znajdę. – z zamyślenia wyrwał go głos Andrzeja – Natura ciągnie wilka do lasu, co?
- A żebyś wiedział! Jak ja ci zazdroszczę!... Tu jest tak pięknie. Gdybym tu przyjechał parę lat temu, nie wiem, czy nie zmieniłbym prawa na leśnictwo.
- A jednak ludzie stąd uciekają... I nie chodzi tylko o bezrobocie. Wiele domów jest położonych, tak jak ten, gdzieś na skraju lasu, poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Najbliżsi sąsiedzi trzy godziny drogi stąd. A właściwie wertepów. Nie jest łatwo wytrzymać w takiej samotni. Szczególnie zimą.
- A ja właśnie myślałem, jakby to było cudownie mieszkać w takiej ciszy i spokoju. Nawet zimą. Srebrna tafla jeziora, szyby pokryte misternymi wzorami stworzonymi przez mróz, ogień wesoło trzaskający na kominku...
- I ty sam, zamknięty w czterech ścianach, nie masz, do kogo ust otworzyć. Po co palić w kominku, skoro nie możesz przy nim usiąść z ukochaną?
- Ty się nie cieszysz z tego domu?...
- Cieszę się, ale po prostu nie chcę tu mieszkać sam. Póki co będę spędzał tu tylko wakacje, a przeprowadzę się na stałe dopiero, gdy założę rodzinę i ten dom nie będzie już taki pusty. Wypełni go śmiech dzieci, tupot małych nóżek, no wiesz...
- Wiem... – szepnął Bogdan i nagle poczuł się zażenowany tym, jak daleko zaszli w tej rozmowie. Normalnie nie robili sobie nawzajem takich zwierzeń. Przynajmniej nie na trzeźwo. Musieli przecież udawać twardzieli w tym brutalnym, męskim świecie. Przyznawanie się do uczuć było obciachowe. „To chyba ten las tak działa...” – pomyślał mętnie. Poza tym większość rówieśników uznałaby ich za frajerów, skoro chcą dobrowolnie obciążać się rodziną, „zaprząć się do kieratu”, zamiast wykorzystywać młodość, żeby się wyszaleć. No, ale Andrzej prawdziwej rodziny nigdy nie miał, a trochę już poszalał...
- Słuchaj, – nagle przypomnienie nocnej rozmowy z Krzyśkiem wyrwało go z zamyślenia
 - a ty sądzisz, że będziesz potrafił oderwać się od rozrywkowego trybu życia i ustatkować, jak tylko się ożenisz?

¹ Fragment poematu „Ruslan i Ludmiła” autorstwa Aleksandra Puszkina. Przekład: Jan Brzechwa.

- Skończyłem z rozrywkowym trybem życia. – odparł Andrzej stanowczo – Przez ostatni rok nałykałem się różnych rozrywek jak topielec wody i mam dość. Może to zabrzmiało banalnie, ale dotarło do mnie, że to nie prowadzi donikąd. Zresztą – w oczach Andrzeja znów pojawiły się te wesołe iskierki – czy piękna żona to niewystarczająca rozrywka?
- Masz już kogoś na oku?
- Owszem. Pewna piękna pani doktor zawładnęła moim sercem, choć nie jest kardiologiem.
- Na razie traktuje cię jak legendarna Wanda Niemca...
- A! – Andrzej machnął ręką – To dlatego, że się wczoraj pokłóciliśmy o jakieś bzdety i teraz się trochę dąsa. Ale przejdzie jej. Zawsze przechodzi. Nie urodziła się jeszcze dziewczyna, która by mi się oparła.
- Uważaj Don Juanie, bo ta może być pierwsza!
- Po moim trupie!

Śmiejąc się, ruszyli wolno w stronę domu. Spiętrzone chmury płynęły po błękitnym niebie, zaczynało się robić duszno. Nagle Andrzej stanął jak wryty, a po jego twarzy przebiegł grymas bólu.

- Hej, co jest? – zapytał Bogdan lekko zaniepokojony. Andrzej był blady jak śmierć.
- Pozostałości rozrywkowego życia – uśmiechnął się krzywo – zawsze jak ciśnienie leci w dół, zaczyna mnie rąbać pod czaszką. Ewelina mówi, że mogłaby do przepowiadania pogody używać mnie zamiast barometru. Ale już mi przeszło... Wieczorem pewnie wróci, to wezmę Maxalt.
- Jeszcze sobie zaszkodzisz! – na schodach do jadalni stała Wanda. Miała na sobie białą, przewiewną sukienkę na ramiączkach. – Ciągle mu powtarzam, żeby tyle tego nie brał. Wszystko ma swoje skutki uboczne.
- Nie jestem masochistą i jak mnie coś boli, to nie widzę sensu się męczyć. Choć ty pewnie lubisz na to patrzeć.
- Jesteś niesprawiedliwy...
- Dobra, wezmę Apap – zadowolona?
- Jasne! Z tego samego słoika co ostatnio!

W obliczu narastającej kłótni Bogdan uznał, że lepiej się dyskretnie ulotnić. Wszedł do jadalni, nalał sobie wody mineralnej stojącej w kryształowej karafce na stoliku pod ścianą. Odwrócił się, słysząc kroki. Ze schodów zbiegała Ewelina. Czarne włosy uczesane w lśniącego koka, ciemne, sportowe spodnie, obcisła, granatowa bluzka. Na biodrach miała zawiązany rękawami czarny sweter a na ramieniu mały plecak.

- Gotowa na mocne wrażenia? – zapytał Maciek, podrzucając kluczyki od toyoty.
- Zawsze. – odparła Ewelina spokojnie i odwracając się w stronę Bogdana, rzuciła –
Idziemy?

Rozdział III

Bogdan odprowadził wzrokiem Ewelinę, która zgrabnie przeskakując chaszczę zmierzała w stronę cmentarnej kapliczki.

- To będzie najlepsze miejsce na spędzenie nocy, zwłaszcza, że spodziewamy się deszczu.
- rzuciła w stronę Maćka.
- Nawet, jeśli przegram zakład o pogodę, to wygram zakład o odwagę. – uśmiechnął się złośliwie – Nie wytrzymasz burzliwej nocy w towarzystwie nieboszczyków. A nie oszukasz mnie, uciekając do koleżanki, bo ja będę sprawdzał, czy na pewno tu siedzisz.

Bogdan stwierdził, że Maciek jest równie niesympatyczny jak jego siostra piękna. Aż trudno uwierzyć, że taka fajna dziewczyna mogła mieć takiego brata buraka. Z niechęcią pomyślał o ich zakładzie. Na początku zapowiadał się nawet zabawnie, ale ten nadęty bucefał traktował go z taką powagą... Teraz na przykład z jadowitą satysfakcją wyjaśniał Ewelinie, żeby nie dzwoniła do jakiejś Magdy z miasteczka, żeby po nią przyjechała, bo Maciek zamierza dzwonić do siostry co 15 minut i sprawdzać, czy ona na pewno znajduje się na cmentarzu poprzez zadawanie jej pytań w stylu „Jakie nazwisko widnieje na czwartym nagrobku z lewej strony”, więc jeśli Ewelina spędzi noc u koleżanki, to siłą rzeczy nie będzie w stanie udzielać prawidłowych odpowiedzi i w ten sposób Maciek dowie się, że jednak nie wytrzymała całej nocy wśród grobów, więc on wygrał zakład. Bogdan był zniesmaczony. Ewelina jednak nie traciła dobrego humoru.

- Skoro zamierzasz mnie nękać telefonami przez całą noc, zamiast pozwolić się wyspać w tych jakże pięknych okolicznościach przyrody, to proponuję podwyższyć stawkę. Już nie o satysfakcję, ale o prawo do jednego życzenia...

Maćkowi błysnęło w oku.

- Dobra...

Bogdan przyglądał się tej scenie z rosnącym zniecierpliwieniem. Na wyraźne życzenie Eweliny, razem z Maćkiem odwiózł ją na cmentarz w charakterze świadka mogącego później zapewnić, że zakład był przeprowadzony uczciwie, ale teraz miał wielką ochotę przerwać tę dziecinadę i uwolnić Ewelinę od konieczności spędzenia deszczowej nocy w przeciekającej ruinie, w środku lasu, (a jak wiadomo, drzewa ściągają pioruny), tylko dlatego, że jej brat był zadufanym w sobie palantem i nie potrafił się w porę wycofać. Chociaż ona nie sprawiała wrażenia niezadowolonej. No cóż, przebywała w jego towarzystwie od dziecka, to się zdążyła

przyzwyczajaić... A może po prostu wiedziała, że wygra i już obmyślała jakieś sprytnie życzenie? Nie ma co, rodzeństwo nie świeciło przykładem miłości rodzinnej. Ewelinie w sumie trudno się dziwić – przy tak uroczym braciszku... Bogdan sam miał ochotę założyć się z nim o coś, tylko po to, żeby wygrać i dać mu nauczkę.

Maciek wyciągnął z bagażnika jeszcze wodoodporny śpiwór oraz potężną latarkę ze świeżym kompletem baterii i nie oglądając się na siostrę, usiadł za kierownicą. Bogdan zwrócił uwagę, że samochód odpalił dopiero, gdy Maciek przeciągnął palcem po czytniku linii papilarnych. Przypomniał sobie, że takie samo zabezpieczenie było zamontowane w jeepie Andrzeja. A to oznaczało, że nikt poza nimi dwoma nie mógł korzystać z samochodów i w razie czego przywieźć Eweliny z powrotem, co Bogdan planował zrobić, gdyby ten dumny zakład wyrwał się spod kontroli. Dziewczyna znajdowała się całkowicie na łasce i niełasce swojego brata.

- Słuchaj – odezwał się Bogdan, gdy Ewelina zniknęła już z pola widzenia – Ale jak będzie się naprawdę bała, to pojedziesz po nią?

Maciek spojrział na niego jak na idiotę.

- Jasne, przecież to moja siostra.

Bogdan uspokoił się. Wyglądało na to, że Maciek, choć zachowuje się jak palant, to jednak ma wycucie pewnych granic i nie będzie znęcał się nad siostrą. Przynajmniej nie przesadnie. Zresztą zawsze mógł poprosić Andrzeja, a gdyby powaliła go spodziewana migrena, to zostawała jeszcze ta Magda w miasteczku. Ewelina mogła do nich w każdej chwili zadzwonić.

- Dopilnowałem, żeby przed wyjściem naładowała telefon. Umrzyki nic jej nie zrobią, ale w tym lesie są dziki. – myśli Maćka biegły podobnym torem i Bogdan poczuł się mile zaskoczony. Jednak zaraz mu przeszło, gdyż Maciek nie tylko bezpieczeństwo miał na uwadze – Po południu byłem też na cmentarzu i zanotowałem napisy z kapliczki i nagrobków, o które będę ją pytał przez telefon.

„Palant to zawsze palant” – stwierdził w duchu Bogdan. Resztę trasy spędzili w milczeniu.

Maciek zahamował przed gankiem i zgasił silnik.

- Nie chowasz auta do garażu? – zdziwił się Bogdan. Był przekonany, że ten snob zechce chronić swój cenny samochód przed wieczorną rosą.
- Muszę jeszcze odwiedzić panią Basię do miasteczka. W tygodniu nocuje u nas, ale na niedzielę wraca do siebie.

Weszli do domu. Jadalnię zalewało pomarańczowe światło zachodzącego słońca. Przez wielkie szklane drzwi wpadały do wnętrza promienie odbite od drobnych fal jeziora, którego

srebrzystą powierzchnię marszczył ostatni wieczorny wiatr. O zmierzchu ucichnie, a wraz z nim zniknie jasność i władzę nad krajobrazem przejmie ciepła księżycowa noc. Ale na razie niebo płonęło czerwienią. Bogdan aż zmrużył oczy. Może jak już zostanie tym prokuratorem, to postara się o przydział gdzieś na Mazurach. Mógłby wtedy mieszkać w chatce nad jeziorem i codziennie po pracy rozkoszować się takimi widokami. Chwilowo musi mu wystarczyć zdjęcie na pamiątkę.

Maciek bez grama wrażliwości na uroki przyrody włożył Bogdanowi w kadr. O dziwo nawet nie zepsuło to zdjęcia. Na tle pomarańczowego okna jego sylwetka była całkiem czarna, jak cień przestępcy uchwyconego w biegu. „Dopiero pierwszy rok aplikacji, a już masz skrzywienie zawodowe” – skarcił sam siebie Bogdan. Tymczasem Maciek, wciąż dyplomatycznie wychylony, aby pani Basia nie oskarżyła go o plątanie się po jej kuchni, wołał z jadalni:

- Pani Basiu! Już 21 a umawialiśmy się, że odwiozę panią do domu przed zmrokiem.
- Tak, tak, ale wnuczka zadzwoniła, że po mnie przyjedzie, zapomniałam powiedzieć. Ona mnie odwiezie, Maciuś się nie musi fatygować.
- No, dobra. – mruknął Maciek złym głosem.
- Spodziewamy się jeszcze jakiś gości? – do pokoju wszedł Krzysiek – Przed dom zajechał niebieski opel.
- A, to na pewno Kasia! – ożywiła się gospośnia – Już, już lecę!
- Ty może przestaw swoją furę, bo ta cała Kasia nie nawróci – Krzysiek zwrócił się do Maćka.
- Nawróci, nawróci, ale i tak muszę wjechać do garażu. Niejeden chciałby położyć łapy na takiej furze.

„Wiedziałem!” – stwierdził Bogdan z satysfakcją, że trafnie ocenił Maćka. W końcu przyszły prokurator musi mieć wyczucie do ludzi. – „To jeden z tych trzęsidupnych snobów, którzy myślą, że złodzieje nie mają nic lepszego do roboty, tylko siedzą w krzakach na odludziu i czyhają na okazję, żeby zwinąć mu jego święte auto, odciawszy wcześniej palec właściciela, choć o wiele łatwiej i szybciej można ukraść równie drogie cacko z dowolnego parkingu w mieście.”. Rzucił porozumiewawcze spojrzenie Krzyskowi, ale jego pochłonęło całkowicie wystukiwanie sms’a, więc zwrócił wzrok w stronę kuchni, z której dobiegały smakowite zapachy. Od obiadu minęło już pół dnia, a na świeżym powietrzu strasznie zgłodniał. Zajrzał ostrożnie do środka i niemal zderzył się z rudowłosym czupiradelkiem, które wyskoczyło nagle zza futryny.

- A! Buszuje się po kuchni, co? – kwiknęła radośnie Marlena. – Siadaj biedaku, zostawiliśmy ci stosik kanapek, tam pod kloszem, bo ominęła was kolacja, jak pojechaliście z Eweliną, swoją drogą to głupi pomysł, tak się zakładać o siedzenie nocą w lesie i to na cmentarzu, ja bym się okropnie bała, a nawet jeśli Ewelina się nie boi tak siedzieć wśród grobów, w co prawdę mówiąc nie wierzę, to przecież czyha na nią masa innych niebezpieczeństw, tam są przecież dzikie zwierzęta w tym lesie: wilki, dziki, zbrodniecy i kto wie, co jeszcze... – w tym momencie Marlenie zabrakło tchu, co Bogdan skwapliwie wykorzystał.
- Dzikie i zbrodniecy to spokrewnione gatunki?
- A jak! Poza tym może ją ukąsić kleszcz, złać deszcz, o! misiu! Kanapeczki tam są!
- Nie, dzięki – odparł Maciek – nie jadam na wieczór.
- Od kiedy?
- Od dziś. – warknął – Sama mówiłaś, że trzeba o siebie dbać.
- A tam! Kochanego ciała nigdy za wiele – reszta szczebiotu Marleny zniknęła w ogólnym gwarze dobiegającym z salonu. Bogdan został sam w kuchni i mógł wreszcie w spokoju rozkoszować się dziełami sztuki kulinarnej autorstwa pani Basi. Delicje, po prostu delicje. Mniem.

Niestety delicje dziwnie szybko się skończyły i Bogdan z westchnieniem udał się do salonu, gdzie impreza wyraźnie się rozkręcała. Wcale nie miał ochoty spędzać wieczora w towarzystwie ludzi, którzy każdy weekend marnują w modnych, warszawskich klubach nadużywając wszystkiego, co jest pod ręką, więc ich pojęcie o dobrej zabawie na pewno diametralnie różni się od upodobań Bogdana. Aczkolwiek musiał przyznać, że na razie nie dostrzegał żadnych objawów zgniłej dekadencji. Złota młodzież oddawała się rozmowom na światowe tematy. Zjawisko, które Bogdan nie do końca umiał zaklasyfikować. Normalna impreza studencka zupełnie inaczej by wyglądała, zresztą na co innego się nastawiał po zapowiedziach Krzyśka, a tu proszę! Pełna kultura. Marlena z Wandą omawiały ostatnie premiery teatralne. Pierwsza ze szpanerstwem stałego bywalca, a druga z pozycji zwykłego acz wyrobionego widza. Krzysiek z Maćkiem tkwili w temacie muzyki rockowej. Pan prawnik był wyraźnie zwolennikiem ciężkiego łomotu, zaś sportowiec cenił sobie melodię. Z kolei Andrzej, niepoprawny żartowniś, znów robił sobie jaja z Bogu ducha winnego Adama:

- Ależ testament spisany ręcznie ma taką samą wartość jak u notariusza, prawda Maciek?

Adam, gdyby miał odrobinę rozumu, to już dawno by stąd wyjechał i nie marnował urlopu na podlizywanie się ludziom, którzy zaprosili go tylko po to, żeby się z niego cały czas

nabijać. Dla postronnego obserwatora, jakim był Bogdan, już po jednym dniu nie ulegało wątpliwości, że nikt z nich nie miał najmniejszego zamiaru wesprzeć fundacji Adama. Zresztą tylko jeden człowiek w tym domu – Andrzej – dysponował prawdziwym majątkiem. Pozostali, nawet gdyby chcieli, to i tak nie mogliby sobie pozwolić na charytatywne wydatki. Ale może Adam nie miał kasy na prawdziwe wakacje, więc godził się na taką namiastkę nawet za cenę kpin? Sprawiał wrażenie pasjonata, a fundacje zwykle wykorzystują takie osoby do ciężkiej harówki za grosze. Może w ogóle pracował na zasadzie wolontariatu? Dlatego wykorzystywał w tym celu urlop. Albo dostawał procent od pozyskanych środków? Bogdan przyjrzał się Adamowi. Z nieprzeniknioną miną maglował Andrzeja na temat popadających w ruinę zabytkowych kamienic, których los wszak musi leżeć na sercu każdego Polaka, zwłaszcza studenta historii sztuki. Powinien on bardziej niż inni rozumieć wartość obiektów będących materialnym zapisem wyobraźni naszych przodków, nieprawdaż... Z każdym dniem ulegają coraz większemu zniszczeniu, już niedługo nieodwracalnemu, więc należy się spieszyć i poratować kamienne świadectwa naszej bogatej przeszłości, póki jeszcze można...

Nagle uwagę Bogdana odwrócił dźwięk znajomego imienia.

– Przecież Ewelina... – reszta słów Krzyśka zniknęła w ogólnym gwarze.

Bogdan oderwał się od podsłuchiwania rozmowy o konserwacji zabytków i zbliżył do źródła zdecydowanie bardziej interesujących informacji.

– ...więc sam widzisz, że to niemożliwe – odpowiedział Maciek – Nie będzie tak, że przesiedzi noc u koleżanki, a nam będzie wstawiać głodne kawałki o tym, że przeleciała sowa, ale ona się wcale nie boi i takie tam. Konkretnie pytania zmuszą ją, żeby siedziała kamieniem na miejscu.

Bogdan skrzywił się. Maciek wyraźnie rozkoszował się swoim przebiegłym planem doprowadzenia siostry do ataku paniki. Osobiście Bogdan wątpił w taki rozwój wypadków. Ewelina sprawiała wrażenie bardzo rozsądnej dziewczyny. Nie bała się prawdziwych sztormów, więc nieistniejące duchy cementarne też jej raczej nie przestraszą. Zresztą krwawy zachód słońca sugerował zmianę pogody, czyli najprawdopodobniej zakład skończy się jeszcze przed północą, bo przecież nie pozwolą jej spędzić burzy w lesie. Jednak Maciek dalej rozwodził się nad zaletami swojego genialnego pomysłu, nie zważając na zdeglustowane miny Krzyśka, Bogdana, a także Andrzeja, który zlitował się wreszcie nad Adamem i dołączył do pozostałych. Kres przechwałkom Maćka położyło nadejście Wandy.

– O czym rozmawiacie?

Krzysiek i Andrzej jednocześnie ruszyli w jej stronę gotowi do udzielenia obszernych wyjaśnień, ale na widok uroczego uśmiechu, jakim Wanda obdarzyła Andrzeja, Krzysiek zatrzymał się raptownie i spojrzał na przyjaciela spode łba. Nieświadomy niczego Andrzej spokojnie zajął miejsce u boku Wandy i ze śmiechem streścił jej zamierzenia Maćka, żartobliwie przekręcając wszystko, tak że towarzystwo co raz wybuchało gromkim śmiechem z roztaczanej przez Andrzeja barwnej wizji Maćka pohukującego sowim głosem z wierzchołka pogrążonej w ciemnościach sosny i jego imponującego upadku, gdy krucha gałąź nie wytrzyma wagi obiadków pani Basi i złamie się od ciężaru notarialnego brzuszka.

- Huk, jaki rozlegnie się w zderzeniu twardego prawniczego zadka z bezwzględną ściółką leśną, zaprawdę godzin będzie końca świata! – naigrawał się Andrzej – i przyprawi Ewelinę o nieuchronną palpację serca, a w konsekwencji otwarcie jej testamentu, co zaowocuje konserwacją kolejnej cudnej kamienicy! Tylko, jak ty wtedy wygzekwujesz wygraną, Maciek? Myślisz, że Ewelina spełni twoje życzenie z tamtego świata?
- Czego to się nie zrobi dla brata! – westchnęła przekomicznie Marlena i Bogdan uznał, że chyba zbyt surowo ją wcześniej ocenił. Miała dziewczyna przebłyski poczucia humoru. W przeciwieństwie do jej ukochanego, który natychmiast wdał się w żarliwy spór z dowcipnym kuzynem. Wkrótce jednak wszelkie konwersacje zostały przerwane przez dwie żywe panienki, które włączyły muzykę rozrywkową i zapędziły panów w tany, a ponieważ Maciek pogrążył się w cmentarnych opisach, Marlena porwała do tańca Bogdana, Andrzej – Wandę, a Krzysiek zaszył się w kącie, by z ponurą miną oddać się konsumpcji trunków wysokoprocentowych. Adam też nie wyglądał na zachwyconego, ale cierpliwie słuchał wykładu Maćka z miną człowieka, który w imię wyższej idei zniesie wszystko.

Nie minęło pół godziny, a układ sił w towarzystwie zmienił się diametralnie. Przez chmurę wściekle rudych loczków Marleny Bogdan zdołał dostrzec, że Andrzej z nagłym grymasem bólu chwyta się za głowę, wypuszczając z objęć Wandę, która natychmiast podbiegła do laptopa przyciszyć muzykę. Fundując Marlenie strategiczny przechył w tył, Bogdan zyskał lepszy widok sytuacji, wprawdzie tylko na kilka sekund, ale to wystarczyło, by zorientować się, że Andrzeja najwyraźniej dopadła koszmarna migrena, Wanda jest zarazem zmartwiona i wściekła, a z oczu Krzyśka wyzierała nietaktowna nadzieja na rychłe usunięcie gospodarza z horyzontu. Nawet pochłonięty do tej pory samym sobą Maciek zwrócił uwagę, że coś się dzieje i gdy piosenka dobiegła końca, zastopował następną. Bogdan wykorzystał chwilę ciszy, by z pocałowaniem rączki odprowadzić Marlenę na kanapę i w ten dżentelmeński sposób uwolnić się od jej uroczej kompani na rzecz Andrzeja, który właśnie przysiadł na schodach i zniecierpliwionym szeptem tłumaczył coś rozeźlonej Wandzie.

- ...muszę, nie rozumiesz?!
- Zobaczysz, że znowu wylądujesz na odwyku! – zasyczała w odpowiedzi.
- Daj spokój, normalne lekarstwa z apteki nie uzależniają!
- Wszystko uzależnia! Ludzie się nawet od robienia zakupów uzależniają!
- To mam żyć jak asceta i cierpieć w milczeniu, tak?! Nie kupić pomidorka na obiad, bo się uzależnię od zakupów! Nie jeść lodów, bo się uzależnię od słodyczy, nie wziąć lekarstwa, bo się uzależnię od prochów, nie pić kawy, nie uprawiać seksu, może jeszcze wyrzucić komórkę przez okno, bo nie daj Boże się uzależnię od esemesowania! Ty chyba jesteś nienormalna!
- Ekhm... – zasygnalizował swoją obecność Bogdan. Andrzej spojrzał na niego spode łba.

Światło lampy, na tle którego stał Bogdan, sprawiało, że intensywnie mrużył oczy pod ściągniętymi bólem brwiami. Jego wykrzywione rysy nie pozostawiały wątpliwości, że autentycznie cierpiał, a jednak Wanda była niewzruszona i z naburmuszoną miną oraz założonymi na piersiach rękami całą sobą dawała do zrozumienia, że stanowczo protestuje przeciwko przyjmowaniu jakichkolwiek środków przeciwbólowych.

- Naoglądała się doktora House'a i teraz wszędzie widzi lekomanów. – mruknął Andrzej tonem usprawiedliwienia.

Bogdan pominął tę uwagę taktownym milczeniem.

- Pomóc ci jakoś? – zapytał z troską. Bładość Andrzeja wraz z kropelkami potu, które zrosiły jego czoło i zaczynały powoli spływać bruzdami wykarbowanymi cierpieniem, wzbudziłyby współczucie nawet w kamieniu, a co dopiero w starym przyjacielu.
- Nie dzięki. Pójdę na górę. Położę się. – zerknął na Wandę i dodał szeptem – Coś sobie łyknę i zaraz mi się polepszy...

Andrzej wstał i zaczął powoli wspinać się po stopniach drewnianych schodów, kurczowo trzymając się rzeźbionej poręczy. Bogdan odprowadził go spojrzeniem, dopóki nie znikł w mroku korytarza na piętrze. Odwrócił się i jego wzrok padł na zmienioną twarz Wandy. Czy wydawało mu się, czy w jej oczach pojawiły się wyrzuty sumienia? Nie zdążył jednak przyjrzeć się dokładnie, gdyż w tym samym momencie podbiegł do niej Krzysiek i z wyraźnym ożywieniem zajął opustoszałe miejsce u jej boku. Równocześnie Maciek postanowił przejąć rolę gospodarza przyjęcia i zapewnić gościom odrobinę rozrywki, więc zadzwonił do Eweliny i przełączył na tryb głośnomówiący.

Pokój wypełniły odgłosy lasu. Intensywny szum liściastych drzew, subtelne cykanie świerszczy – nie brakowało nawet pohukiwania ukrytej w gęstwinie sowy. Na tle odgłosów natury dźwięczał jeszcze dziwny poświst, który Bogdan zidentyfikował po chwili jako wiatr

gwizdzący w szczelinach na poły zrujnowanej kapliczki cmentarnej. Mimo to głos Eweliny brzmiał pewnie, gdy przekonywała brata, że czuje się świetnie. Nie zadrżał nawet, gdy Maciek kazał jej przeczytać nazwiska wyryte na ścianach krypty, a sam sięgnął po swoje notatki, by porównać je z zeznaniami Eweliny i upewnić się, czy przypadkiem nie zmyśla byle czego, siedząc na kanapie u koleżanki w miasteczku. Błądząc wzrokiem po własnych bazgrołach, wymyślał na oczekaniu kolejne pytania, a odpowiedzi sprawdzał ze skrupulatnością urodzonego notariusza. Sądząc po jego minie, wszystko dokładnie się zgadzało. Zresztą nikt poza nim nie wątpił, że tak będzie. Skąd w bloku z wielkiej płyty wzięłaby się sowa?

Bogdan popatrzył na zebranych. Poza Maćkiem, Marleną i nim samym, nikt za bardzo nie zwracał uwagi na rozmowę rodzeństwa. Maciek przykładał do tego dużą wagę, bo chciał wygrać zakład, to logiczne. Marlena, poczciwa dusza, niepokoiła się o Ewelinę. Z kolei Bogdan interesował się sprawą z przyczyn niejasnych nawet dla niego samego. Oczywiście, gdyby zapytała go o to osoba postronna, potrafiłby wymienić na oczekaniu kilka świetnych powodów takich jak np. poczucie odpowiedzialności za współtowarzyszkę wakacji, upodobanie do emocjonujących zakładów, uprzejmość wobec gospodarzy, brak lepszego zajęcia w danej chwili itp. itd., ale w głębi duszy czuł, że za jego zaintrygowaniem kryje się coś więcej, lecz postanowił, że na razie niech się kryje. Głęboko. Trzeba twardo stąpać po ziemi. Przyszły prokurator powinien trzymać nerwy na wodzy. Nie ulegać gwałtownym emocjom. Nie tracić obiektywizmu. Nie sądzić po pozorach. Nie przepadać z kretesem w błyszczących bursztynowych oczach, tylko dlatego, że są po prostu oszałamiające... Nie tonąć bez wieści w aksamitnym głosie...

„Trzymaj się, chłopie!” Bogdan potrząsnął głową, jak pies po ucieczce z kąpieli. W wyrwaniu się z romantycznego nastroju nieświadomie pomogła mu Marlena, włączając stare dobre przeboje Abby. Podśpiewując uwodzicielsko „A sense of expectation hanging in the air!”², Krzysiek natychmiast porwał do tańca Wandę, a Marlena znów zaanektowała Bogdana.

Po kilku energicznych piosenkach, podczas których radosne okrzyki Krzyśka „RA RA RASPUTIN Russia's greatest love machine!” skutecznie sprowadziły Bogdana z powrotem na ziemię, dziewczyny postanowiły podgrzać coś do jedzenia, a Maciek uznał, że to idealny moment, by znów wprowadzić do atmosfery element grozy. W tym celu zatelefonował do siostry, by usłyszała, jak ich stary zegar wybija godzinę duchów. Teatralnym gestem przysunął komórkę do antycznego czasomierza i ewidentnie napawał się rozkoszą na myśl

² „Poczucie oczekiwania wisi w powietrzu!” – cytat z piosenki „Voulez-Vous” („Czy chciałabyś?”) grupy Abba.

o dreszczach, jakie wywołują u Eweliny te posępne dźwięki, przypominające trochę stare kościelne dzwony wzywające wiernych na mszę pogrzebową. Następnie z jakąś chorą przyjemnością przegonił siostrę po całej nekropolii, zadając podchwytliwe pytania o kolejne, ledwie widoczne napisy na pordzewiałych krzyżach. Oczyma duszy Bogdan widział, jak nieszczęsna musi w świetle latarki odcyfrowywać zatarte literki, niemal klęcząc na poroślej mchem ziemi cmentarnej, w której spoczywały płytko zakopane ciała. Tak płytko, że podpierając się ręką przy odczytywaniu imion z pochylonych nisko krzyży, ryzykowała, iż dotknie dłonią wystającej z gruntu lodowatej puszczeli. Jej głos drżał z emocji, gdy na żądanie brata podawała kolejne nazwiska dawno zapomnianych nieboszczyków. Urywany oddech zdradzał, że mroczna atmosfera pogrążonych w sinym blasku księżyca grobów, wywarła na niej mocne wrażenie. Bogdan nie wytrzymał.

- Ewelina... – przerwał jej – wszystko w porządku?
- Tak... – odparła z wysiłkiem – to tylko te nietoperze... – szepnęła głucho – latają mi nad głową... takie upiorne...
- Pojechać po ciebie? – zareagował natychmiast Maciek.
- Wypchaj się. – Ewelina najwyraźniej dosłyszała w głosie brata nutki satysfakcji – Żebyś wiedział, że wytrzymam!
- To dobrze, bo najcięższa próba dopiero przed tobą...
- Może jednak?... – spróbował ponownie Bogdan.
- Wytrzymam, choćbym miała zwariować ze strachu! – oznajmiła Ewelina, a stanowczy ton jej wypowiedzi kontrastował z łamiącym się głosem.

„Ech...” – westchnął w duchu Bogdan – „Dlaczego najpiękniejsze dziewczyny muszą być zarazem najbardziej uparte?”. Musiał jednak przyznać, że to właśnie ta niezłomność intrygowała go najbardziej. Taka na przykład popiskująca Marlena w ogóle się nie umywa...

„Aczkolwiek uczciwie trzeba przyznać, że ma swoje zalety.” – uczciwie przyznał Bogdan na widok miseczek z bigosem, które rudowłosa nimfa z krzywymi ząbkami zaczęła serdecznie rozdawać gościom. Aromatyczny zapach wypełnił całe pomieszczenie i zawładnął myślami wszystkich zgromadzonych, o czym dobitnie zaświadczyło głośnie burczenie w brzuchu, którego sprawcy nie udało się zidentyfikować, pomimo kilku prób, jakie wśród chóralnych wybuchów śmiechu podejmował Krzysiek.

Pyszny bigos wkrótce stał się tylko wspomnieniem, podobnie jak barszczyk i krokieciki. Pochłonięty konsumpcją Bogdan dopiero po unicestwieniu wszystkich przyznanych mu porcji i dokładek zauważył, że w międzyczasie atmosfera uległa zmianie. Laptop z empetrójkami został zamknięty, a w zamian pojawiła się gitara, na której sentymentalnie brzdąkał

Krzysiek, gapiąc się przy tym czule na Wandę. Sprawiało jej to wyraźną przyjemność, choć Bogdan, który znał Krzyśka od lat, wiedział, że skłonność do rzewnych melodii jest nieomylnym znakiem, iż nadużywany wcześniej alkohol pokonał już trasę z żołądka Krzyśka do jego głowy. Dyskretnie odwrócił wzrok od pogrążonej w wymianie tkliwych spojrzeń pary, ale trafił niewiele lepiej, gdyż jego oko padło na Marlenę i Maćka migdalących się w kącie. No, niedosłownie. Bogdan natychmiast zwrócił się w innym kierunku, ale zdążył zauważyć, że Marlena przykleiła się do ukochanego i niezmordowanie obdarzała go masą pieszczotliwych gestów, natomiast on łaskawie pozwalał się adorować, przyjmując te hołdy jak naturalny wyraz swojej wyższości i z rzadka odwzajemniając któryś, co jednak Marlenie w zupełności wystarczało. Najwyraźniej dawanie było dla tej dziewczyny znacznie ważniejsze niż branie.

Widząc, że Bogdan patrzy w jego stronę – bo nie miał innego wyboru – Adam ruszył w jego kierunku z zachęcającym uśmiechem. Spłoszony Bogdan błyskawicznie się zmobilizował i z miną stałego bywalca dyskotek podskoczył do laptopa. Gruchnęła muzyka, więc nie czekając na reakcję Krzyśka, Bogdan porwał do tańca Wandę, która stała najbliżej, rzucając przyjaciela na żer Marlenie. Krzysiek wyszczerzył się do żywiołowej wiewiórki, co miało symbolizować przeproszący uśmiech, ale nie zostało przyjęte do wiadomości i sekundę później Bogdan ujrzał, jak jego kumpel wiruje na parkiecie z przekrzywioną dziwnie głową, bo rude loczki łaskotały go w ucho. Uśmiechnął się pod nosem. Udało mu się upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: pozbyć zarówno Adama, jak i Marleny. Niedługo jednak trwała jego satysfakcja, gdyż Krzysiek z typowym dla sportowców refleksem szybciućieńko podprowadził swoją partnerkę do drugiej pary i z łobuzerską iskrą w oczach wykrzyknął radośnie:

– Zamiana!

Bogdan znów wylądował w ramionkach Marleny. Z filozoficznym spokojem uznał, że z dwojga złego lepsze to niż wysłuchiwanie wykładu na temat renowacji zaniedbanych reliktyw przeszłości z finansowym podtekstem w tle prowadzone przez nudziarza wszechczasów. Na szczęście piskliwa marchewka nie wytrzymała długo tańców w pomieszczeniu pełnym brudnych naczyń i przerwała pląsy już po pierwszej piosence, by wraz z Wandą pozbierać miseczki po bigosie, talerzyki po krokietkach, filizanki po barszczyku i wszystkie inne brudne naczynia, które z takim talentem samoistnie rozmnażają się na każdej imprezie, a które każdy normalny facet posprzątałby następnego dnia, bo bez sensu psuć sobie zabawę w najlepszym momencie. Ale dziewczyny zapatrywały się na to inaczej.

Zresztą atmosfera i tak nie nadawała się do zbyt intensywnych tańców. Z każdą minutą robiło się coraz bardziej duszno i parno. Bogdan popatrzył tęsknym wzrokiem w okno, ale choć błyskało się już od kilkadziesiąt minut, deszczu na ochłodę wciąż nie było widać.

Maciek rozpoczął z Adamem wartką konwersację o prawnej stronie ochrony zabytków, zwłaszcza budynków z nieregulowanym statusem, więc Bogdan, który miał dość paragrafów na co dzień, ulotnił się dyskretnie ze strefy oddziaływania Maćka i usiadł na drugim końcu pokoju przy strojącym gitarę Krzyśku. Postanowił wykorzystać moment spokoju, by omówić z nim sprawę najważniejszą, cel całej tej wyprawy – pomoc Andrzejowi, który najwyraźniej już jej nie potrzebował, bo sam zdążył wygrzebać się z rynsztoka. Prowadził ustabilizowane życie w domowym zaciszu i nawet snuł plany na przyszłość.

- Nie wiem, po co mnie tu ściągnąłeś – zagaił Bogdan niezbyt fortunnie.
- Nie podoba ci się tu? – autentycznie zdziwił się Krzysiek.
- Nie, skąd, jasne, że się podoba. Żagle, piękne krajobrazy, urocze dziewczyny...
- A...! Widziałem, widziałem! – Krzyśkowi żartobliwie błysnęło w oku – Jedno piegowate dziewczę płąsa z tobą cały wieczór – wprawdzie jest zajęta, ale wiesz, zawsze możesz wyzwać Maćka na pojedynki na kodeksy, czy coś.
- Doskonały dowcip. – skrzywił się Bogdan – Jakbyś był dobrym przyjacielem, to byś w strategicznych momentach wywoływał mnie na stronę, dzwonił na komórkę albo coś.
- Nie chciałem zdeptać pączka subtelnych uczuć, zanim się rozwinie. – kpił dalej Krzysiek – Sumienie by mnie po prostu zagryzło!
- Rzeczywiście, twoje sumienie jest szczególnie wyczulone na uczucia starego przyjaciela...

Krzysiek udał, że nie zauważył tego dwuznacznego komentarza. Bogdan postanowił przejść do rzeczy.

- Chodziło mi o to, że niepotrzebnie robiłeś panikę. Andrzej wszystkie problemy ma już za sobą.
- Daj spokój, przecież to ćpun! – zachnął się Krzysiek – Ciągłe coś bierze, jak nie jedno to drugie. Teraz popadł w lekomanie...
- Weź nie przesadzaj, sam widziałeś, że autentycznie go boli.
- No jasne, że go boli. Typowa oznaka głodu!
- Rozmawiałem z nim dzisiaj. – Bogdan nie tracił spokoju – Brzmiał bardzo rozsądnie.
- Narkomani potrafią się świetnie maskować. – ponurym słowem Krzyśka towarzyszył pomruk zbliżającej się burzy.

- Ale Krzysiek, przecież ja go znam od dziecka. – przekonywał Bogdan – Nawet kilka lat dłużej niż ty. Wiem, jaki jest roztrzepany i lekkomyślny, ale dzisiaj... wszystko, co mówił, brzmiało tak... naprawdę dojrzałe. Jak jeszcze nigdy w życiu. Myślę, że on naprawdę wszystkie problemy ma już za sobą. Jeszcze musi się uporać z ich konsekwencjami, nadszarpnięte zdrowie nie wróci z dnia na dzień, ale powodów do niepokoju już nie ma.
- No, nie wiem... – Krzyśka w dalszym ciągu przepełniały wątpliwości – Dobrze by było, szkoda kumpla... ale ciężko mi uwierzyć, że Andrzej się tak nagle nawrócił, po tym wszystkim, co zrobił... – nieświadomie zerknął w stronę drzwi, za którymi zniknęła Wanda.

Bogdanowi zdawało się, że usłyszał w jego głosie nutę rozgoryczenia i przyszło mu do głowy, że Krzysiek nie tyle nie może, co nie chce uwierzyć w poprawę Andrzeja, bo zamyka mu to drogę do serca Wandy. Z punktu widzenia Krzyśki byłoby lepiej, gdyby Andrzej zaćpał się na śmierć... – Bogdan aż przestraszył się własnych myśli. Nie, Krzysiek nie był taki. Naprawdę żałował przyjaciela. „Szkoda kumpla” – sam tak powiedział przed chwilą. Po prostu martwił się o niego, nie chciał, by Bogdan zlekceważył sytuację i zaniedbał rozmowy z Andrzejem, których Krzysiek z wiadomych względów przeprowadzić już nie mógł.

Rozważania przerwało mu wejście miłych dam, które z werwą powróciły do poprzednich rozrywek. Bogdan musiał odłożyć na później rozgrzeszanie kumpla w myślach, bo słowa usprawiedliwień niezbyt mu się zgrywały z rytmem „Ney, Na Na Na!” Vayi Con Dios, który, mimo okropnej duchoty, porwał do szalonego tańca całe towarzystwo, nawet Maćka. Kątem oka Bogdan pochwycił jego paralityczne ruchy i zrozumiał, dlaczego Marlena przez cały wieczór chciała tańczyć właśnie z nim. Nawet bezgraniczna miłość, jaką darzyła Maćka, nie mogła zamknąć jej oczu na fakt, że przyszły notariusz miał najzwyczajniej w świecie dwie lewe nogi i zero poczucia rytmu. Nic dziwnego, że jak dorwała Bogdana, to nie chciała popuścić przez następne trzy piosenki. Jedyna okazja, żeby sobie normalnie potańczyć bez ryzyka obrażeń kończyn dolnych. Mimo to, przy pierwszej nadarzającej się okazji Bogdan z ulgą wyrwał się z jej ramion. Chciał już pójść do siebie i tam przeczekać resztę imprezy z dala od namolnej Marleny, bufonowatego Maćka, zdesperowanego Adama, niewiernej Wandy i Krzyśki, któremu też można było co nieco zarzucić np. nielojalność względem złożonego chorobą kumpla. Chyba, że to miała być opieka nad dziewczyną w zastępstwie przyjaciela – taka dżentelmeńska usługa, by biedaczka nie czuła się osamotniona. A propos łaknących towarzystwa piękności... Bogdan postanowił, że skoro świt zerwie Andrzeja z łóżka i pojedą po Ewelinę, a jeśli Andrzej będzie nadal cierpiał, to wystarczy, że uruchomi

samochód. Bogdan z przyjemnością sam pojedzie po ukrytą na polanie w gęstym lesie czarnooką, czarnobrewą... Stop! „Trzymaj się, chłopie!”.

Z braku kubła zimnej wody do wylania sobie na głowę, Bogdan podszedł do Maćka i Adama, którzy wciąż zawzięcie debatowali nad tym, jak w praktyce wybrnąć ze sprzecznych przepisów prawa utrudniających rozpoczęcie inwestycji. Czy coś w tym stylu. Bogdan, który wybrał aplikację prokuratorską w nadziei na odrobinę emocji, gdyż nad prawem cywilnym zasypiał z nudów, stwierdził, że podejścia do tych dwóch sztywniaków, jednak nie należy zaliczyć do jego najlepszych pomysłów, gdyż przy tak fascynującym temacie jego myśli same odpływają w stronę bardziej interesujących kwestii, takich jak np. szansa na wyłączenie towarzystwo pewnej boskiej brunetki jutro, pojutrze i popojutrze...

- A tobie przypadkiem słońce nie przygrzało? – zapytał podejrzliwie Maciek.
- Eee... nie... – odparł Bogdan niezbyt przekonująco. Jeden rzut oka na obrażone oblicze rozmówcy upewnił go, że chyba właśnie popełnił niewybaczalną zbrodnię zignorowania jego wypowiedzi. – Mówiłeś coś?

Nabzdyczony Maciek powtórzył pytanie. Najwyraźniej spodziewał się, że kolega po fachu poprze jego opinię w sporze z Adamem, ale doznał w tym względzie gorzkiego rozczarowania, gdyż Bogdan nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w prawnicze dyskusje, więc odpowiedział mu coś ni w pięć ni w dziesięć. W końcu miał wakacje... Czas błęgiego lenistwa... Nareszcie... Żadnych kodeksów, paragrafów i kazusów... Teraz jest na Mazurach. Przez następne dziesięć dni będzie się rozkosznie bujał na falach, nieopanowanie objadał czereśniami albo bezcelowo włóczył się po lesie pod pozorem grzybobrania. Gęste korony drzew będą przepuszczały tylko nieliczne promienie słońca i w tym przefiltrowanym przez soczystą zielen światła będzie się bezwstydnie gapił w czyjeś przepastne, czarne, błyszczące oczy...

Bogdan znajdował się już w połowie schodów, gdy usłyszał za plecami charakterystyczny sygnał wywoływanego telefonu w trybie głośnomówiącym. Ewelina odebrała po kilku sekundach. Bogdan zawrócił. Przez chwilę miał wrażenie, że ktoś zaczął szaleć po pokoju z wyjątkowo mocnym fleszem, ale zaraz zorientował się, że to nie lampa błyskowa w aparacie tylko krótka seria błyskawic rozświetliła niebo. W ich upiornym blasku twarz Maćka nabrała diabolicznego wyrazu, gdy kolejnymi pytaniami zmusił siostrę do przejścia w odległy zakątek cmentarza już niemal na skraju mrocznego lasu. Tam na obrzeżach zrujnowanej nekropolii musiała wysłuchać jego opowieści.

- Pamiętasz wakacje po 6 klasie? Lato było upalne jak teraz. Przy każdym kroku słony pot zalewał spuchnięte powieki i spieczone wargi. Niewyobrażalny gorąc doprowadzał krew

do wrzenia, a duchota odbierała rozum znękanym ludziom zamkniętym w rozgrzanych do białości betonowych klatkach zwanych blokami mieszkaniowymi. Znojne noce nie przynosiły ulgi, przeciwnie jeszcze bardziej rozdrażniały udręczone umysły suchą męczarnią bezsenności. Nigdy wcześniej i nigdy później nie grasowało w okolicy tyłu szaleńców. Niektórych nigdy nie złapano... Wciąż żyją pośród nas i kto wie, może obecna fala upałów znów uaktywni ich bestialskie instynkty...? Z kolei ci, których pojmano, nie pamiętali, gdzie ukryli zmasakrowane w szale ciała swoich ofiar. Jeden z nich podczas sesji z psychiatrą przypomniał sobie nagle, że miejsce pochówku nieszczęsnych wybrał ze względu na dobre towarzystwo. „Śmierć już dawno objęła ten teren w swoje władanie” – wyznał chrapliwie – „Ziemię w tym miejscu przepełniały kości wielu innych, zamordowanych wcześniej, o wiele wcześniej, przed wiekami...” – tu urwał, a przejęty zgrozą psychiatra wysłał go do zakładu zamkniętego, z którego kilka lat później uciekł, pozostawiając za sobą jedynie zbezczeszczone zwłoki sanitariuszki i kartkę z enigmatycznym komunikatem „muszę odnaleźć to miejsce”. Od tamtej pory nikt go nie widział...

Bogdan poczuł się troszkę nieswojo. „Trzeba przyznać, że ma chłop gadane...” – pomyślał – „Nadaje się na adwokata...”. Jeśli jemu w przytulnym domku z mnóstwem ludzi ciarki przebiegły po plecach, to co musiała czuć Ewelina, która słuchała tej historii samotnie w złowrogim lesie, otoczona ze wszystkich stron posępными krzyżami i grobami obcych, dawno zmarłych ludzi. Tam, na obrzeżach cmentarza, znajdowały się mogiły samobójców, których spokój na tamtym świecie był mocno wątpliwy, a zatem istniało ryzyko, że wciąż krążą po tym padole, uwięzieni między dwoma wymiarami i raczej nie zachwyci ich studencka zabawa zaledwie kilka stóp nad ich obgryzionymi przez czerwce szkieletami. Ewelina miała prawo być śmiertelnie przerażona.

A jednak nie była. W tle niepokojąco szumiał las, przeciągle wyl wiatr, ale Ewelina sprawiała wrażenie o wiele bardziej opanowanej, jej głos brzmiał stanowczo, gdy skwitowała wysiłki brata krótkim:

– Ładna historyjka. W sam raz na konkurs szkolnych wypracowań.

Wanda parsknęła śmiechem. Maciek spojrzał na nią z wyrzutem.

– No, co...! Mnie tam te twoje szkielety też nie ruszają. Nie takie rzeczy widywało się na zajęciach w prosektorium.

– Hej Wanda! – zawołała Ewelina – To może następnym razem założymy się o to, ile Maciek wytrzyma właśnie tam?

Niedoszły notariusz lekko pobałdł.

- W szufladach świeżutkie zwłoki, a ja przez telefon będę go karmić historiami o duchach, upiorach i szkieletach, wywołujące dreszcze u wszystkich przedszkolaków łącznie z moim braciszkiem. – kontynuowała ironicznie, a jej głos emanował pewnością siebie.

Nie zgrywała się. Naprawdę nic a nic się nie bała. Upiorne opowieści nie robiły na niej najmniejszego wrażenia. W sumie nic dziwnego – skoro jej nawet sztormy niestraszne! „Co za dziewczyna!” – pomyślał Bogdan, wchodząc po schodach na pierwsze piętro – „Z taką można konie kraść! Albo raczej pojechać w podróż dookoła świata... Rejs śladem Magellana... Zgrabny jacht, dwójka żeglarzy i tylko krzyż południa wskazywałyby im drogę... Ale najpierw wypadaloby zrobić ten patent sternika, żeby się nie zbłąźnić.” Bogdan cofnął rękę z klamki swojego pokoju. Przyszło mu do głowy, żeby zapytać Andrzeja, czy przypadkiem nie wie, na co można poderwać jego kuzynkę. Oprócz żagli oczywiście, tym jej nie zaimponuje, na pewno jest w temacie lepsza od niego. Wprawdzie Andrzeja bolała głowa, ale może już mu przeszło, a nawet jeśli nie, to i tak chyba nie spał, bo spod drzwi jego pokoju padała na podłogę korytarza wąska smuga światła. A może po prostu zasnął przy zapalanej lampce? „Nie... Przecież światło go raziło...”. Bogdan zapukał subtelnie. Jeśli nie śpi, to otworzy, a jeśli śpi, to nie powinien się obudzić. Brak odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, wciąż bardzo delikatnie. Cisza. Padający spod progu ostry blask elektrycznego światła zaniepokoił Bogdana na tyle, że postanowił wejść i sprawdzić, czy wszystko w porządku. Drzwi nie ustąpiły. Andrzej zamknął je na zasuwkę. „Narkomani świetnie się maskują” – nagle przypomnienie słów Krzyśka przestraszyło Bogdana nie na żarty. Wcisnął głowę pod klamkę i zajrzał do środka przez dziurkę od klucza. Andrzej siedział przy biurku z nienaturalnie odrzuconą w tył głową. Zamknięte oczy sugerowały głęboki sen, ale jego klatka piersiowa nie poruszała się nawet najpłytszym oddechem.

Andrzej był martwy.

Grzmotnęło jak z armaty. Błyskawice zaczęły szaleć jak dyskotekowe światła. Zaalarmowane krzykiem Bogdana towarzystwo z salonu dzikim galopem wbiegło po schodach, lecz łomot ich nóg na drewnianych stopniach niemal znikł w kolejnych grzmotach, które przetoczyły się przez dom.

- Jak to nie oddycha?! – krzyczał Krzysiek.
- Gdzie on jest?! – darł się Maciek.
- Ale dlaczego, dlaczego?! – histeryzował Adam.

- Co się stało?! Co się stało?! – piszczała Marlena.
- Stracił przytomność! – wrzasnął Bogdan. Kurczowo czepiał się nadziei, że może uda się Andrzeja jeszcze odratować. Może to tylko zapaść. Może z tego wyjdzie.
- Puśćcie mnie do niego! – zażądała Wanda.
- Drzwi są zamknięte!
- To je wyważcie!

Pchnięci tym samym impulsem bez żadnych uzgodnień Krzysiek, Bogdan i Adam równocześnie rzucili się na drzwi. Coś chrupnęło, ale masywne dębowe wrota nawet nie drgnęły. Adam z jękiem chwycił się za ramię.

- Jeszcze raz!

Bogdan, Krzysiek i Maciek łupnęli w drzwi. Bez skutku.

- To na nic! – ryknął Maciek, z trudem przekrzykując gromy i bębnienie deszczu o okna dachowe korytarza – To są porządne drzwi! A zasuwą to sztaba z kutego żelaza!
- Balkonem! – zawołał Adam.
- Nie da rady! On wisi na słowo honoru!
- Musimy tam wejść!!! – rozdzierająco krzyknęła Wanda.

Bogdan z Krzyśkiem wpadli do pokoju obok. Gwałtownie otworzone okno rąbnęło w regał z książkami i zważyło na podłogę jakieś bibeloty. Kraniec zewnętrznego parapetu dzielił od poręczy balkonu co najmniej metr. Bogdan spojrział w dół. Do ziemi brakowało dobre pięć metrów. Ale nie było innej drogi. Krzysiek wlaź na parapet.

- Urwie się! – zawył Maciek – Ten balkon od początku źle zrobili! Za mało zbrojenia! Cienki beton! Nikt na niego nigdy nie wchodził!
- To co, mamy poczekać, aż on tam zejdzie?! – wściekł się Krzysiek.
- Zrozum człowieku, że się zabijesz! Jak pani Basia postawiła na nim doniczkę, to się naderwał z jednej strony!
- To się naderwie z drugiej!
- A ty zlecisz i sobie kark skręcisz!
- Krzysiek złaź! – wrzasnął Bogdan – Ja pójdę!
- Nie wygłupiaj się!
- Jestem lżejszy! Będziesz mnie asekurował!
- Nie! – upierał się bez sensu Krzysiek – Ty będziesz asekurował mnie!
- Nie utrzymam stu kilogramów mięśni, idioto!

Do Krzyśka wreszcie dotarło. Rozejrzał się i porwał leżącą w kącie zbuchtowaną linę żeglarską. Sprawnie omotał nią Bogdana, a jej koniec przypiął sobie karabinkiem do porządnego skórzanego paska od spodni.

– Gotowe!

Bogdan chwycił framugę i wskoczył na parapet. Wyprostowany, przyklejony plecami do muru, przysunął się maksymalnie do krawędzi gzymsu. Nagle pożałował, że odkąd poszedł na aplikację, zarzucił uprawianie wszelkich sportów. Dwie godzinki tygodniowo nie zaszkodziłyby nauce, a teraz miałby, jak znalazł. Ostrożnie wystawił jedną nogę i usiłował sięgnąć nią metalowej poręczy, ale znajdowała się zbyt daleko. Musiał porządniej się wychylić. Musiał zrobić krok nad przepaścią. Bogdan zmobilizował wszystkie siły fizyczne oraz duchowe i całym ciałem rzucił się w bok, lecz w tym samym momencie gwałtowny podmuch wiatru przygniótł go do muru, a Bogdan stracił równowagę. Jego noga ześlizgnęła się z mokrej poręczy. W ostatniej chwili rozpaczliwie wczepił się w kutą barierkę balkonu, która wygięła się niebezpiecznie, gdy zawisł na niej całym ciężarem ciała. Krucha konstrukcja zatrzeszczała i w ułamku sekundy runęła w dół. Bogdan poczuł, że leci bezwładnie jak kamień w wodę, nie zdążył jednak spanikować, gdy jego bezwolne spadanie przerwało nagle mocne szarpnięcie, a liny, którymi omotał go zapobiegliwy Krzysiek, boleśnie wpiły mu się w ciało.

– Żyjesz?!

– Tak!

– Podciągam!

Krzysiek zaczął powoli windować Bogdana w stronę okna. Strugi deszczu chłostały jego ciało, wiatr zapierał dech w piersiach, chropowaty tynk obtarł mu dłonie, ale świadomość, że liczy się każda sekunda, dodała mu sił. Bogdan oparł się stopą o wystające z muru resztki balkonu, chwycił jedną ręką jakiś hak, a drugą parapet, łokciem rozbił szybę i władował się do środka, nie zważając na ostre odłamki szkła do krwi raniące jego ręce. Upadł na dywan, tuż obok miejsca, gdzie poniewierała się opróżniona strzykawka. Najwyraźniej wypadła z osłabłej dłoni Andrzeja, który leżał bez życia na krześle odsuniętym daleko od biurka, niemal na środku pokoju. Na blacie stała plastikowa, biała buteleczka z charakterystycznym czerwonym napisem „Apap” obok szklanka wody oraz otwarta książka, której kartki szarpał wściekle wiatr i zalewała woda wpadająca do wnętrza przez wybite okno. Bogdan dotknął szyi Andrzeja zgrabiętymi z zimna palcami. Ochłodzenie, które przyniosła burza oraz smagający go przez ostatnie minuty deszcz, sprawiły, że jego ręce były lodowate, a jednak, gdy przyłożył dłoń do tętnicy przyjaciela, mimowolnie zadrżał. Skóra Andrzeja tchnęła

mrozem śmierci, a pod jej powierzchnią nie pulsował nawet najsłabszy rytm. Nieruchome i zimne ciało nie pozostawiało wątpliwości. Andrzej nie żył już od jakiegoś czasu. „To niemożliwe!” – pomyślał Bogdan. „To niemożliwe...”.

Rozpaczliwy łomot pięści o drewniane drzwi przywołał go do porządku. Jak w letargu odsunął masywną zasuwę i wpuścił do środka zdenerwowaną Wandę, która natychmiast rozpoczęła udzielanie pierwszej pomocy nieszczęsnemu nieboszczykowi. Maciek stanął w progu jak wryty. Z korytarza dobiegały piskliwe okrzyki Marleny usiłującej po amatorsku usztywnić pogruchothane ramię Adama, który bronił się przed jej troską ostatkiem sił.

- Co z nim?! – Krzysiek wpadł do pokoju z impetem i dopiero jego obecność otrzeźwiła Bogdana.
- Stój! – warknął, zastawiając wejście własną osobą – Nie zacieraj śladów!
- No, coś ty?! Odwaliło ci?! Puszczaj!
- Nikt u nie wejdzie do przyjazdu policji!
- Jakiej policji?! – wrzasnęła Wanda – Dzwońcie po pogotowie!
- Pogotowie mu już nie pomoże!!!
- Co?! – Krzysiek nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał. I natychmiast znalazł winnego – Miałeś z nim porozmawiać!!!
- I rozmawiałem!!! Sprawiał normalne wrażenie!!!
- Ty chyba jesteś nienormalny!!!
- Nie stój, jak ten cep! – wydarła się na niego Wanda – Dzwon!

Krzysiek rzucił Bogdanowi spojrzenie pełne wyrzutu i popędził na parter, gdzie zostawił komórkę. Burza wciąż szalała nad światem, siejąc psychodeliczne błyski. Głośny werbel kropel, walących o dach i parapety z całą mocą rozwścieczonej natury, nie pozwalał zebrać myśli. Bogdan wiedział jedno – to nie mogło być samobójstwo. Zbyt dobrze znał swojego przyjaciela, by przypuszczać, że po tym, co mu dzisiaj powiedział, nadal chciał odebrać sobie życie. Mogło to być przypadkowe przedawkowanie, ale nie wolno tego z góry zakładać, zanim nie zbadają wszystkich faktów i upewnią się, co do prawdziwego przebiegu wydarzeń. Przecież ktoś mógł mu dopomóc... Dlatego należy bezwzględnie przestrzegać zasad postępowania na miejscu zbrodni. Żadnego zacierania śladów przez przypadkowych gapiów! Żadnych osób postronnych wokół nieboszczyka!

- Wyjdź stąd! – syknął na Maćka.

Kuzyn Andrzeja wzdrygnął się i bez słowa wycofał w głąb korytarza. Bogdan spojrzał na Wandę, która wciąż desperacko usiłowała tchnąć życie w sinego trupa.

- Przestań! Już mu nie pomożesz...

Wanda spojrzała na niego oczyma pełnymi łez. Z jej piersi wyrwało się rozziewające łkanie. Bogdan ostrożnie podszedł do niej i chwytając za ramiona, podniósł z kłęczek. Wanda odruchowo ukryła zapłakaną twarz na jego piersi.

- Co jest?! – zawołał z pretensją Krzysiek.
- Masz! Trzymaj! – Bogdan wepchnął mu Wandę w ramiona, jakby przekazywał postawiony na sztorc zwinięty w rulon dywan.
- Co z tym pogotowiem?!
- Nie przyjadą! Burza powaliła drzewa! Drogi są nieprzejezdne! Jesteśmy odcięci od świata!

Chcesz dowiedzieć się, kto padł ofiarą, a kto skalał swoje ręce ohydą zbrodnią?

Przeczytaj kolejne siedem rozdziałów powieści na stronie:

[Wydaje.pl](#) PDF **BEZ REJESTRACJI** jedyne 6,40 zł

[Virtualo](#) PDF i **EPUB** za 6,20 zł

[Empik](#) EPUB i PDF tylko **4,77 zł**. Można zapłacić także **zwykłym przelewem (na pocztę)**, tylko trzeba zapisać sobie numer konta w trakcie składania zamówienia.

[Amazon](#) **Kindle** (mobi) za 5,74 \$

[Smashwords](#) mobi (Kindle), ePub (**Apple iPad/iBooks, Nook, Sony Reader, Kobo**), PDF, RTF, LRF, **Palm Doc, online reading** za jedyne 2,99 \$

Zobacz zwiastun na [YouTube!](#) Dołącz do nas na [Facebooku!](#)

© Copyright by **Ola Mazur**

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części niniejszej publikacji jest zabronione bez pisemnej zgody autora. Zabrania się jej publicznego udostępniania w Internecie oraz odsprzedaży.

Projekt okładki | **Julia Senczyszyn**

ISBN 978-83-272-3281-6

Jesteśmy cmentarzyskami

Ola Mazur

Wydanie I

